

T. 1/36

Maksymilian Piotr.

nr. 1905 i. zm. —

PÓŁROCZNIK

WYCHOWANKÓW

PODLASKIEGO MNIEJSZEGO SEMINARJUM
DUCHOWNEGO CZYLI WYŻSZEGO GIMNAZJUM
BISKUPA PODLASKIEGO W SIEDLCE

ROK SZKOLNY 1931-32
PÓŁROCZE II

WYDANY POD KIERUNKIEM PROF. TEODORA TURKA

SIEDLCE 1932

470

446

248

1764

60

1224

470

446

318

1234

Dziesięciolecie pontyfikatu Ojca św. Piusa XI-go

(Referat wygłoszony podczas uroczystej akademii w naszym Seminarjum dnia 14-go lutego 1932 roku)

Dziesięć lat mija od czasu, gdy na osieroconej stolicy św. Piotra zasiadł Jego Eminencja Kardynał Achilles Ratti, jako Pius XI.

Świat cały, znękany burzami wojen, witał Go z radością i ufnością, bo widział w Nim Apostoła pokoju i zwiastuna nowej wiosny katolickiego życia.

Urodził się Ojciec św. w Dessio, małym miasteczku koło Medjolanu, w roku 1857. Rodzice Jego byli ubogimi mieszczanami. Syna wychowywali w duchu głęboko katolickim. Młody Achilles, po ukończeniu Liceum, wstąpił do Seminarjum Duchownego w Medjolanie. Wyższe studia odbył na Uniwersytecie w Gregorjanum, zdobywając trzy doktoraty: teologii, filozofji i prawa kanonicznego. Ówczesny kardynał medjołański, korzystając z Jego głębokiego wykształcenia, powołał Go najpierw na stanowisko profesora Seminarjum Duchownego, a później—prefekta Biblioteki Ambroziańskiej. W roku 1913 otrzymał Ratti z rąk Benedykta XV-go naczelną zarząd nad zbiorami Watykanu, wraz z godnością protonotariusza i kanonika bazyliki św. Piotra. Gdy czas Mu upływał na cichej, ale ruchliwej pracy pośród ścian bibliotecznych w Watykanie, zerwała się nad Europą straszna zawierucha, niosąc śmierć i pożogę. W ruinę padały stare, olbrzymie państwa, a powstawały nowe. Do życia zbudziła się też i Polska. Ale rozpolitykowanemu krajowi, który trzech dawnych zaborów nie umiał zespolic w jeden organizm, trzeba było siły wiążącej—trzeba było Chrystusa. Zdawał sobie sprawę z tego Benedykt XV, przysłał więc do Polski ks. Rattiego, który w Swem sercu niósł nam Zbawiciela.

O pobycie Jego u nas zbytecznym jest mówić. Każdy Polak wie o Nim. Wie, że nuncjusz papieski pokochał kraj nasz całym sercem, że zrosł się z nami, zżył, że ciężko Mu było nas opuszczać. Odjazd Jego z Warszawy nastąpił w czerwcu 1921 roku, gdy Ojciec św. mianował Go arcybiskupem Medjolanu. Tu też otrzymał niebawem purpurę kardynalską i zasłynął jako gorliwy arcybiskup.

Tymczasem zmarł Ojciec św. Benedykt XV. Oczy całego katolickiego świata zwróciły się ku Rzymowi. Ostatni papież: Pius IX, Leon XIII i Pius X przez swój rozum i świętobliwość podnieśli niebywale na znaczeniu i powadze Stolicę św. Któż więc teraz na niej zasiądzie?

Aż dnia 6 lutego 1922 r. w imieniu Konklawe zwiastował jeden z kardynałów z balkonu bazyliki św. Piotra światu całym wielką wia-

domość: „Anuntio vobis gaudium magnum: habemus Papam — Eminentissimum Dominum Cardinalem Achillem!”

Wiść ta lotem strzały obiegła całą ziemię, jak długa i szeroka budząc wszędzie entuzjazm i radość wśród wiernych. W kościołach odprawiano dziękczynne nabożeństwa, śpiewano „Te Deum“, a z ust do ust powtarzano we wszystkich językach radosne słowa: „Mamy Papieża!”

Wielkie i ciężkie są obowiązki Ojca św. To sternik, który prowadzi przez wzburzone fale dziejów katolicką nawę; w Jego dłoni złożone są losy milionów dusz. Pius XI czuł brzemie swej godności, ale rąk nie załamał. Rozejrzał się najpierw po Swojej niwie. W smutnym zastał ją stanie. Grady, burze i wichry wojen spustoszyły ją, stratowały. Ze zgnitych zaułków Leningradu i Moskwy wypełził rój potwornego robactwa i niby szarańcza rzucił się na chore już i tak latorośle, niszcząc je i przyprawiając o ostateczną zgubę. Jad ateizmu, rozpusty i zbrodni szerzył spustoszenie wśród najmłodszych szczepów, które, zdawało się, tak pięknie zakwitną i tak wspaniały owoc w przyszłości wydadzą. Mróz zubożenia zwarzył najokazalszy kwiat — inteligencję.

Trzeba było działać. Koniecznym fundamentem pod budowę gmachu Chrystusowego miał się stać prawdziwy pokój. Ojciec św. wiedział, że na nic zdadzą się wszelkie traktaty rozbrojeniowe, podpisywane na „świsstkach papieru“, jeżeli chęć utrzymania pokoju nie stanie się udziałem wszystkich bez wyjątku serc całego świata. Dlatego w pierwszej zaraz encyklice „Ubi arcano“ nawołuje ludzi do szerzenia idei „Pokoju Chrystusowego“. Niech zamilkną głosy armat, niech ustaną spory i waśnie, a nad światem niech zapanuje „Pax Christi!“

Drugim, może najważniejszym punktem programu Piusa XI-ego, było hasło podjęte już przez Piusa X-go: „Restaurare omnia in Christo“. Z hasłem tym jednak zwrócił się nie tylko do obciążonego pracą duchowieństwa, ale i do wiernych całej ziemi. Uzdrówcie najpierw własne dusze, a potem stańcie w szeregach armii Bożej i idźcie na podbój świata. Niech wśród bojowników o wiarę św. stanie inteligent, chłop i robotnik i niech walczy każdy na swojej placówce: w salonie, na wsi i w fabryce. Za broń winien mu służyć dobry przykład, odważne manifestowanie na każdym kroku słowem i czynem swych zasad katolickich, miłość ludzi i miłość Chrystusa. A na czele tej armii Jezusowej, co walczy pokojem, stanie On — Papież z krzyżem w ręku — symbolem ukochania i poświęcenia, powiedzie ją do zwycięstwa i zapanuje Królestwo Chrystusowe na ziemi... Świat się odrodzi z ducha, z serca — a takie odrodzenie jest trwałe i pewne.

Na tę akcję katolicką kładzie Ojciec św. ogromny nacisk i przeciwnieństwa żadne Go nie zrażają. Dowodem tego jest zwycięskie odparcie ataku faszystów włoskich, którzy sprawom partyjnym chcieli podporządkować ideały Boże. Papież postawił Swoje „veto“ i wytrwał przy nim do końca. Encyklika „Quadragesimo anno“ jest jakoby pobudką do walki o ideały chrześcijańskie i zarazem teorią akcji katolickiej.

Zasady życia katolickiego opierają się na rodzinie. Jeżeli się zniesie rodzinę, to upadnie zupełnie nasza chrześcijańska moralność. Małżeństwo przeto stanowi dla wiary katolickiej fundament, którego usunięcie spowoduje całkowitą ruinę gmachu. Dlatego to Papież w encyklice „Casti

Connubii" każe zwalczać rozwody i śluby cywilne. Małżeństwo jest sakramentem ustanowionym przez samego Boga, przeto usiłowanie unieważnienia go ze strony małżonków i mieszanie się do tego państwa jest pro prostu wykluczone.

Zdaje sobie Ojciec św. sprawę z tego, że, aby Królestwo Chrystusowe trwało wiecznie, trzeba wiarę św. przekazywać z pokolenia w pokolenie, trzeba, by młodzież wzrastała w jej tradycjach, by ją naprawdę ukochała. A cóż tymczasem dzieje się na świecie?

Przeróżni „mędrcy“ mówią wiele dzieciom o postępie, którego sami są zwolennikami, a który, jeśli weźmiemy pod uwagę względy moralne i etyczne, jest właściwie „postępem o parę tysiącleci wstecz“. Mówią, że świat powstał sam ze siebie, że duszy niema, że jedyną rzeczywistością bytu jest tylko materja, przeto „użyć trzeba świata, póki służy lata“. Wypowiadają to albo otwarcie, albo dają do zrozumienia, iż radziby byli, gdyby ich wychowankowie takim poglądom hołdowali. Gdzieindziej wychowują młodzież w zupełnej obojętności w stosunku do religji i pod płaszczkiem wolnomyślicielstwa propagują nienawiść do Kościoła.

Ojciec św. ostrzegł świat katolicki przed podobnemi eksperymentami w encyklice „Representanti in terra“ i polecił wiernym, by wychowywali dzieci w szkołach katolickich i od państw takich szkół żądali.

Działalność Ojca św. zaznaczyła się też i na polu społecznem. Jak wiemy, między fabrykantami, a robotnikami istnieje oddawna już głęboka nienawiść. Jedna strona sądzi, że jest wyzyskiwana przez drugą. Pius XI przestrzegł w specjalnym liście robotników przed agitacją złych ludzi, którzy rozpalają tylko namiętności i pogłębiają nienawiść, a poradził łączyć się w dobroczynne stowarzyszenia, pracować sumiennie i nawzajem się wspomagać. Zresztą, gdy fabrykanci i społeczeństwo całe przekona się, że robotnicy nie stanowią już tego żywiołu burzliwego, rewolucyjnego i bezbożnego, to w duchu chrześcijańskiej miłości będzie się starało napewno ich byt polepszyć.

Gdy rozgląda się Ojciec św. po świecie całym, to widzi wiele dusz, które błakają się, jak ćmy w ciemnościach. Jedne z nich pograżyły się w mroki sekciarstwa, schizmy, drugie — pogaństwa. A wszak gorącym pragnieniem tego Apostoła jest jak najwięcej dusz pod opiekuńcze skrzydła Kościoła św. zgromadzić. Ideałowi: „Jedna Owczarnia i jeden Pasterz“ — hołduje tak, jak Jego poprzednicy, a może jeszcze wierniej, wytrwalej. To też zakłada seminarja misyjne, wyswiera chińskich i murzyńskich biskupów i usiłuje pozyskać schizmatyków dla rzymsko-katolickiego kościoła.

Tak mniej więcej w bardzo ogólnym zarysie przedstawia się działalność Ojca św. Piusa XI w ciągu lat dziesięciu. Tak mniej więcej wygląda plan tej wielkiej pracy, jaką w tym czasie na niwie Chrystusowej położył. Jest ona bardzo wszechstronna. Nie gubi się w drobnostkach, ale ze spokojną, stanowczą siłą obejmuje świat cały, zaszczepiając weń pierwiastek ducha Bożego. Papież, chociaż przez umowę z rządem włoskim w r. 1929 utworzył niezależne Państwo Kościelne, składające się z Watykanu i nielicznych innych gmachów w Rzymie, nie posiada dziś materialnej władzy, dlatego nie pragnie jakichś sukcesów politycznych, ale dierży berło władzy duchowej i dlatego dąży z niezwykłą mocą do odrodzenia serc ludzkich. Idea katolicka zbliża się też dzięki Niemu do zwycięstwa. Wszak

chrześcijański światopogląd stał się już dziś udziałem najświetniejszych umysłów. W dniu przeto jubileuszowym, prócz gorących życzeń, jakie w duszy naszemu Papeżowi, Piusowi XI składamy, prócz modłów na Jego intencję, winniśmy powziąć silne postanowienie, że do armji Chrystusowej, którą On prowadzi, należeć będziemy czynnie, że napomnienia Jego i wskazówki w życie z wytrwałością wprowadzać będziemy, że ze wszystkich sił dążyć będziemy do ziszczenia się Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Sztandarem naszym będzie Krzyż,
Co ojców wiódł do chwały —
I nas powiedzie także wzwyż,
Gdzie Boże ideały!
Zwyciężym znój i stromość dróg —
Tak nam dopomóż Bóg!

Bolesław Król, kl. VII.

Prawda psychologiczna w scenie zabójstwa Aliny

(„Balladyna“ J. Słowackiego)

Goplana, pani wód, zakochana w Grabcu, synu wioskowego organisty, pragnie usunąć w jakikolwiek sposób swą rywalkę, Balladynę.

Wysła więc swego sprytnego sługę, Skierkę, aby ten, wprowadziwszy do chaty wdowy grafa Kirkora, rozplómił jego serce miłością ku dziewczynie. Gdy ta zostanie żoną wielkiego pana, łatwiej będzie jej, Goplanie, zwrócić uwagę Grabca na siebie.

Istotnie, Skierka wywiązuje się ze swego zadania, lecz nie ze wszystkim dobrze. Kirkor bowiem — cóż za kaprys! — rozkochuje się nietylko w Balladynie, ale i w siostrze jej, Alinie. Którą pojąć za żonę, sam nie wie. Wtedy to Skierka szepce do ucha wdowy dobrą radę:

„Matko! w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze“.

Sam los wybierze żonę dla grafa!

Alina, kochając szczerze Kirkora, śni o malinach i szczęśliwej z nim przyszłości, Balladyna zaś udaje się na schadzki z Grabcem i myśli tylko o pięknych strojach i wielkich bogactwach, które przypadłyby jej w udziale, jako żonie rycerza.

Nazajutrz, skoro świt, spieszą obie z dzbankami na maliny. Już zbierają. Alina, jak zwykle, wesola i żywa, śpiewa piosenki, a głos jej płynie po rosie. Rwie maliny w nadziei, że przyniosą jej szczęście — przecież zostanie żoną Kirkora!...

Balladyna tymczasem chodzi tu i tam, jak nieprzytomna. Wyciąga rękę po maliny, ale te, jakby się usuwały i chowały. Złe myśli ją przesła-

dują. Najpierw nieśmiało, a później coraz gwałtowniej, jakaś żądza straszna domaga się w niej śmierci siostry. Chęć używania, błyszczenia i władzy przezwycięża resztki szlachejnych uczuć. Pod wpływem tych okropnych myśli widzi wszędzie tylko krew; wszak nawet słońce zdaje się rzucać dookoła krwawe smugi światła. Boi się własnych myśli, lecz jakaś siła niesamowita pcha ją do zbrodni, szepce jej do ucha, dodając odwagi, *tehcce* jej miłość własną. Przecież będzie panią, żoną rycerza!

Plan ma już gotowy — oto zabije siostrę nożem, odbierze jej maliny, zwycięży, zapomni..., ale czy potrafi ją zamordować? Znowu się waha, znowu rozmyśla... Wre w niej głucha walka, miesza się coraz widoczniej. Jakto, ona ma zabić siostrę dla lichych malin? Lecz z drugiej strony słyszy: będziesz panią, wszystko stanie na twoje usługi!

Z tego wewnętrznego chaosu wyrwa ją nagle słodki śpiew Aliny. Drgnęła. Czyżby tamta miała już pełny dzban? Nie, to niemożliwe, ona nie może zostać żoną Kirkora, raczej... zabije ją.

Wtem wchodzi Alina z dzbankiem pełnym malin, a widząc siostrę milczącą i bladą, a w dzbanku pustki, zapytuje ją co robiła? Biedna, nie wiedziała, że Balladyna przygotowywała straszny plan zabójstwa! Zła siostra w zaślepieniu swem widzi w dzbanie jej nie maliny, lecz wstrętne, jadowite żmije, które kłują jej serce i duszę.

Tymczasem Alina stara się ją pocieszyć, co jeszcze bardziej drażni Balladynę, gdyż nie może ona przeżyć szczęścia siostry, podczas gdy sama będzie musiała pracować na roli w pocie czoła... Chwyta za nóż, blednieje... Alina jeszcze nie może pojąć o co chodzi. O, gdyby się domyśliła, gdyby uciekała, wtedy... łatwiej przyszłoby ją zabić; a tu słodycz rozlana na twarzy siostry i ten wdzięk w głosie, takie proste, a szlachetne jej postępowanie. Więc niezdolna jest do krwawego czynu, opuszcza rękę z nożem. Bez troska siostry obezwładnia ją...

Z dziecięcą prostotą wyznaje jej Alina swą gorącą miłość do Kirkora. Ale to już za wiele dla Balladyny. Odzyskuje znowu pewność siebie, myśl zabójstwa momentalnie rośnie i Balladyna chwyta za żelazo. Lecz jeszcze się wstrzymuje, a Alina, widząc jej dziwną błądź i niepokój, z wielką troskliwością pyta ją o zdrowie.

Balladyna, w której myśl zbrodni już zupełnie dojrzała, rozgniewana wprost niezrozumiałem dla niej postępowaniem siostry, żąda od niej malin, a Alina wzbrania się ich dać, boć przecież to jej przyszłość, to „jej sny złote“. Lecz ostatecznie — kto wie — gdyby Balladyna pięknie poprosiła?... Więc Balladyna ma prosić? Nie, nigdy! Z coraz większą natarczywością, coraz groźniej żąda. Oddaj, bo!... Nie kończy, a Alina z jakąś niewiarygodną naiwnością dziecięcą pyta: „Bo... bo co?“ I nie przeczuwając, że siebie gubi, zaczyna z siostry jakby żartować: „Suche żołędzie uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście“. Teraz Balladyna przeszywa ją strasznym wzrokiem, zbliża się do niej, cała drży, wreszcie odzywa się, cedząc słowo po słowie, a głos jej świszczy jak syk węża: „I ja się boję... połóż się na ziemi...“ W ostatniej chwili opuszcza ją odwaga. Stojąca postawa siostry wydaje się jej zbyt obronna. Boi się, więc każe się jej położyć.

Jest to jej pierwsza zbrodnia, nic więc dziwnego, że wymaga najwięcej wewnętrznego wysiłku, bo później będzie już zabijała bez większego wrażenia. Alina pada, z przebitego jej serca płynie pasemko krwi, barwi

suknię i kroplami zrasza liście i kwiaty na ziemi. Teraz dopiero Balladyna uświadomiła sobie co zrobiła. Ten trup, bez ruchu leżący, te źrenice pełne przestachu i usta wykrzywione bólem przerażają ją. Wszędzie widzi krew, prawie bezwiednie plami nią sobie ręce i czoło. Nie, ona tu zostać nie może! Więc ucieka w las, byle dalej od zbrodni. „Jest Bóg, zapomnę, że jest, będę żyła jakby nie było Boga“ — woła. Biedna, myśli, że zapomni o swym strasznym czynie, myśli, że ucho jej uwolni się od jęku ofiary! Tak miotana wyrzutami sumienia biega po lesie i w rozpaczny błądzi, aż wpada jak szalona znowu na to samo miejsce, gdzie popełniła zbrodnię. Cała sina, włos rozrzucony, obłąd w oczach.

„Wiatr za mną goni i o siostrę pyta, krzyczę... zabita — zabita — zabita“. Zdaje się jej, że cała natura chce się na niej zemścić, nawet krwi zmyć nie mogła, a plama na czole pozostanie na wieki jako świadek okropnego czynu... Wreszcie spostrzeża się, gdzie jest. Ta sama wierzba rozplakana i całe otoczenie, ale gdzie Alina?... czyżby... ożyła? To przypuszczenie wstrząsa nią całą, kiełkują znowu złe myśli...

To Goplana, chcąc ją przerazić, przybiera postać Aliny i ukazuje się jej. Ta spostrzeża cień, lecz uciec nie może, bo strach przykuł ją do miejsca. Goplana proponuje jej wskreszenie siostry. Lecz zatwardziała zbrodniarka nie chce, aby Alina ożyła, aby całe zajście stało się tylko okropnym snem.

Nie, niech lepiej nie żyje! „Rozum już przywyknął do twojej śmierci. Skorobym otarła krew z mojej ręki... byłabym szczęśliwą!“ Rzeczywiście na twarzy jej błyska chwilowo spokój. Wtedy Goplana, widząc tę jej zatwardziałość, przeklina ją: „Usychaj wiecznie tajemnicy męką... sama natura, zbrodnią pogwałcona, mścić się będzie!“ Lecz to nie wzrusza kamiennego serca zbrodniarki. Balladyna bierze dzbanek z malinami Aliny i odchodzi do domu, aby zebrać owoce swej zbrodni.

Oto scena, której, mojem zdaniem, mogliby pozazdrościć Słowackiemu najwięksi dramatopisarze.

Juljan Joński, kl. VI-ta.

Stosunki polsko-czeskie w dziejowym rozwoju

Czesi są najpierwszym wśród Słowian narodem, który wytworzył własną organizację państwową, na tyle silną, że mogła przetrwać aż do czasów obecnych.

Oczywiście początki Czech toną w mrokach wczesnego średniowiecza. Legendy, jakie na ten temat powstały, mówią o bajecznym księciu, Przemyślu, od którego czeska dynastia panująca nosi nazwę Przemyślidów.

Przemyślidowie, zbyt słabi, aby móc utrzymać pełną niezależność, podlegali cesarzom niemieckim. Od Niemców też przyjęli chrześcijaństwo, przez co weszli do rzędu narodów zachodniej Europy, ale jednocześnie popadli w zależność kościelną od arcybiskupstwa mogunckiego. Podwójna ta zależność od Niemiec była tylko wynikiem konieczności. Czesi starali się

ją zmniejszyć, a nawet usunąć zupełnie. Dlatego też z wyjątkową uwagą patrzyli na nowy twór polityczny, Polskę, która rosła w siłę za dzielnego swego księcia, Mieczysława.

Czesi widzieli w niej naturalną sojuszniczkę w walce z Niemcami. Polska również doskonale pojmowała znaczenie ewentualnego zbliżenia się do Czech.

Na tle takich to stosunków nastąpiło małżeństwo Mieczysława z Dąbrówką, córką Bolesława czeskiego i nawrócenie Polski. Jednak zbliżenie polsko-czeskie nie spełniło tego, co spełnićby mogło: zarówno Polska, jak i Czechy, ulegają Niemcom. Jest to w pewnej mierze wynikiem braku współdziałania obu państw. Nie doceniając niebezpieczeństwa germańskiego, walczą one między sobą.

Po śmierci Mieczysława I-go, korzystając z kłopotów Bolesława Chrobrego, Czesi napadają na Polskę i zabierają jej Kraków. Niewiele jednak przyniosło im to korzyści, bo Chrobry nie tylko go odebrał, ale przyłączył do swego kraju i Morawy, ponieważ za rządów jego ojca należały one przez czas jakiś do Polski. Nie poprzestał na tem Bolesław. Miał on szerokie plany zjednoczenia wszystkich Słowian pod przewodnictwem Polski. Oprócz Rusi i Słowian zachodnich, mieli wejść do jego państwa i Czesi. Zdawało się, że plany swe wprowadzi w czyn. Był on już przecież, od czasu zjazdu z cesarzem Ottonem III w 1000 r. monarchą samodzielnym. Państwo jego obszerne powiększało się z każdym rokiem wskutek pomyślnie prowadzonych wojen. W Czechach panował wtedy Bolesław Rudy, który chciał usunąć swych braci: Jaromira i Udalryka. W walce, jaka stąd wynikła, zwyciężony i wypędzony z kraju, udał się o pomoc do Bolesława Chrobrego, który osadził go na tronie z pomocą wojsk polskich. Niedługo jednak panował Bolesław Rudy, gdyż tak mścił się i znęcał nad ludnością, że ta zwróciła się z prośbą do króla polskiego, aby ją uwolnił od tyrana. Bolesław wyruszył do Czech i usunął Bolesława Rudego. Wdzięczni Czesi obwołali go za to swym księciem. Działo się to w 1003 r. Chrobry stał u szczytu potęgi.

Dwa najpotężniejsze państwa słowiańskie, dobrowolnie złączone, mogły się już nie bać naporu germańskiego, o ileby działały zgodnie. Niestety! Na te wszystkie wypadki bacznie patrzył cesarz Henryk II i postanowił nie dopuścić do unji. Dlatego też zaraz w następnym roku rozpoczyna wojnę. Popierając to stronnictwo czeskie, które niechętnie było połączeniu z Polską, napada gwałtownie na Chrobrego, zmusza go do wycofania się i ogłasza księciem czeskim Jaromira, który, wywdzięczając się za tę pomoc, przez cały czas był wytrwałym sprzymierzeńcem Henryka II.

Taki był koniec wielkich zamierzeń Bolesława, gdyż Czesi nie doceniali niebezpieczeństwa ze strony Niemiec. Wprawdzie Chrobry wyszedł z wojny zwycięsko, zdobywszy na cesarzu Łużyce, zatrzymał także Morawy, ale pokojem w Budziszynie (1018 r.) musiał zrezygnować z tronu czeskiego.

Za panowania jego syna, Mieszka II, na Polskę spadała klęska za klęską. Wielka liga antypolska, złożona z Rusi, Czech, Niemiec i Danji, odbierała zdobyte przez wielkiego Bolesława dzielnice. Udalryk, książe czeski, zdobywa Morawy, które już nigdy do Polski nie wróciły.

Horzej dzieje się po śmierci Mieczysława. Reakcja pogańska na

Mazowszu, usamodzielnienie się Pomorza, walka między synami Mieszka, wszystko to tak osłabiło Polskę, że panujący wtedy w Czechach Brzetysław, postanowił przeprowadzić plany Chrobrego, t. j. połączyć .po raz drugi, oba państwa. Teraz jednak unja miała się dokonać pod przewodnictwem Czech, nie zaś Polski. Brzetysław zdobył Kraków, Wrocław, Gniezno i zapanował niemal nad całym krajem.

Ale niedługo to trwało. Polacy wcale nie pragnęli rządów czeskich, ponieważ Czesi zachowywali się jak wrogowie i wywozili do swojej ojczyzny wszelki łup, jaki tylko wpadł im w ręce. Ponadto przeciw Brzetysławowi wystąpił i cesarz, dla którego zarówno groźne były silne Czechy, jak i Polska. Poparł więc Kazimierza, który dokonał zjednoczenia państwa polskiego, za co otrzymał tytuł Odnowiciela. Zawarł on za pośrednictwem cesarza pokój z Czechami w roku 1054. Polska wyrzekła się Moraw, zatrzymała jednak Śląsk, z obowiązkiem płacenia z niego Czechom rocznego trybutu. Warunek ten przyjąć musiała pod wpływem cesarza, który pragnął rzucić kość niezgody między dwa państwa, aby mieć możliwość do ciągłego wtrącania się w umowy polsko-czeskie i utrzymać oba narody w swojej zależności.

Politykę jego rozumiał doskonale Bolesław Śmiały, następca Odnowiciela, to też wspomagał w Czechach stronnictwo antyniemieckie, walcząc z księciem Wratisławem, popierającym Henryka IV-go.

W tym czasie otrzymał on od papieża koronę i koronował się uroczystie na króla polskiego w 1076 r. Wratisław uzyskał również koronę, ale nie od papieża, tylko od cesarza, to też utracił ją w krótkim czasie.

Gdy Bolesław, obciążony kłatwą, stracił w kraju posłuch, wtedy Wratisław poparł Władysława Hermana i osadził go na tronie polskim. Za jego to rządów wybuchnął bunt przeciw wszechwładnemu wojewodzie, Sieciechowi, pod przewodnictwem synów królewskich, Bolesława i Zbigniewa, którzy zyskali pomoc czeską. Sieciech został wypędzony.

Po śmierci Władysława Hermana tron objął Bolesław Krzywousty. Zaraz na wstępie swego panowania poróżnił się z bratem, gdyż ten, mając tylko Mazowsze, pragnął odebrać bratu władzę nad całym krajem. Z tych zamieszek skorzystali Czesi, dostarczając pomocy Zbigniewowi i urządzając napady na Polskę. Bolesław jednak dał sobie radę ze wszystkimi trudnościami i wypędził wkońcu Zbigniewa z kraju. Ten udał się do Czech i Niemiec, gdzie przygotowywał najazd na Polskę. Bolesław nie czekał ataku. Pierwszy uderzył na Czechy, sprzymierzone z Niemcami, aby ocalić Węgry, na które cesarz Henryk V urządził wyprawę. W ten sposób potęga czesko-niemiecka obróciła się na Polskę, która wyszła jednak z tej wojny zwycięsko. Czechy straciły w tej wyprawie swego księcia, Świętopelka, którego zamordowano w obozie.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego, kiedy państwo polskie zostało podzielone na odrębne dzielnice pod władzą osobnych książąt, zaraz zaczęły się waśnie i walki domowe, co naturalnie dawało sąsiadom szerokie pole do wtrącania się w sprawy wewnętrzne kraju. Korzystali z tego i Czesi, lecz, pozostając w zależności od cesarza, nie mogli rozwinąć szerszej działalności. Najczęściej występowali razem z Niemcami. I tak w 1157 r. wspomagali Fryderyka Barbarossę, który popierał wypędzonego

przez młodszych braci — Władysława i zmusił Bolesława Kędzierzawego do uznania zwierzchnictwa niemieckiego.

W czasach późniejszych stosunki polsko-czeskie się przerywają. Książęta czescy zwracają wszystkie swe wysiłki ku temu, aby zdobyć w Rzeszy jak najwybitniejsze stanowisko. Warunki sprzyjają ich zamiarom. Trwająca od lat wielu walka Hohenstaufów z Welfami nastęrczyła sposobność księciu Ottokarowi I-mu do uzyskania dziedzicznej korony królewskiej w roku 1204. Następca jego, Przemysław Ottokar II, powiększył swe posiadłości, zajmując Austrię, Styryję i Karyntję. Na przeszkodzie dalszemu wzrostowi potęgi czeskiej stanęli cesarze niemieccy, którzy nie chcieli dopuścić, aby tuż przy ich boku wyrósł groźny dla nich współzawodnik. Uzyskawszy więc pomoc wszystkich książąt Rzeszy, Rudolf Habsburg zadał Przemysławowi Ottokarowi klęskę nad rzeką Morawą w 1278 r. Czesi stracili wtedy dzielnego swego księcia i musieli oddać cesarzowi poprzednio zyskane kraje. Następca poległego księcia został Waclaw II. Nie zrezygnował on z wielkich planów swych przodków, lecz zwrócić się musiał w inną stronę, w stronę Polski, gdzie w tym czasie o dzielnicę krakowską, po śmierci Leszka Czarnego, ubiegali się Henryk Probus i Władysław Łokietek.

Z powodu tego rozdzielenia łatwo było Waclawowi opanować Polskę. Najpierw zwierzchnictwo jego przyjął Śląsk, a w roku 1291 i cała Małopolska uznała go za swego księcia. Rządy Waclawa II-go pod pewnym względem były dla Polski korzystne. Dzięki nowemu sposobowi administracji, zapomocą t. zw. starostów, wszędzie zapanował spokój i porządek. Dlatego też po śmierci Przemysława, księcia Wielkopolski, koronowanego na króla całej Polski, stronnicy Waclawa II powołali go do siebie. Rzeczywiście Waclaw opanował całą dzielnicę i w 1300 r. koronował się w Gnieźnie na króla polskiego.

Niedługo jednak panował. Rządy jego miały obok dobrych i złe strony. Urzędnikami byli przeważnie Czesi i Niemcy i ci dopuszczali się różnych nadużyć. Dlatego Łokietek, jedyny współzawodnik Waclawa II, zyskiwał coraz więcej zwolenników i rozpoczął walkę, mając poparcie Karola Roberta, króla węgierskiego i papieża. Zdobył silny gród, Wislicę, która stała się dla niego podstawą działań wojennych. Tymczasem Waclaw II zmarł w 1305 r., a wkrótce potem Waclaw III, ostatni z Przemysłidów, został zamordowany.

Na tronie czeskim zasiadł syn cesarza, Jan Luksemburczyk. Przez cały ciąg swego panowania był on zaciętym wrogiem Polski i podnosił swe pretensje do korony, jako spadkobierca Przemysłidów. Nie mógł jednak nic uzyskać i tylko Śląsk utrzymał w swojej zależności.

Kiedy toczyła się polsko-krzyżacka wojna, Jan wspomagał wytrwale Krzyżaków. Wojna ta, pomimo zwycięstwa pod Płowcami, nie przyniosła rozstrzygnięcia sprawy Pomorza, która została oddana na sąd polubowny królowi czeskiemu i węgierskiemu.

Sąd ten odbył się w Wyszehradzie w 1335 r. Panujący wtedy w Polsce Kazimierz Wielki, zbliżył się do Jana Luksemburczyka i, chcąc zyskać jego poparcie, zrzekł się czasowo swych praw do Śląska. Było to posunięcie błędne, gdyż nie przyniosło zwrotu Pomorza, a spowodowało utratę Śląska.

Za panowania w Czechach Karola IV, który całą swą uwagę poświęcił sprawom wewnętrznym, przerywa się dotychczasowy wrogi stosunek między Polską a Czechami.

Później zaś, kiedy u nas panuje Jadwiga i Jagiełło, stosunek ten zaznacza się w dwojaki sposób: społeczeństwo czeskie odnosi się do Polski bardzo przyjaźnie, natomiast panujący w Czechach Luksemburhowie występują wobec Jagiełły i unji polsko-litewskiej wrogo.

Ruch narodowo-religijny, wywołany przez Husa, wystąpił przeciwko Niemcom, to też husyci zaczęli popierać Polskę, jako naturalną ich sojuszniczkę i wzięli bardzo liczny udział przeciw Krzyżakom w bitwie pod Grunwaldem.

W dziesięć lat później, w 1420 r., sejm czeski powołał na tron Jagiełłę, nie chcąc uznać Zygmunta Luksemburczyka. Jagiełło jednak odmówił, idąc za radą biskupów polskich. Był to również wielki błąd polityczny, bo ruch husycki łatwoby można było pogodzić z Kościołem, byleby tylko usunąć znienawidzonych Niemców.

Niewyzyskanie tej możliwości pociągnęło za sobą upadek Czech.

Chociaż bowiem koronę czeską przyjął Witold, nie miało to większego znaczenia, bo synowiec jego, Zygmunt, wyprawiony tam w charakterze namiestnika, wrócił wkrótce z niczem na Litwę, a Czesi, po strasznej klęsce husytów pod Lipinami, musieli się poddać Zygmunutowi Luksemburczykowi, który zresztą umarł po roku panowania, jako ostatni z Luksemburgów.

Pomimo klęski, husytyzm nie upadł w Czechach. Kiedy w 1457 r. umarł król, Władysław Pogrobowiec, Czesi obrali króla narodowego, husytę, Jerzego z Podjebradu. Położenie Jerzego było bardzo ciężkie. Papież rzucił nań klątwę i ogłosił krucjatę. Uratowało go tylko porozumienie z Kazimierzem Jagiellończykiem, którego synowi przekazał tron czeski na wypadek swojej śmierci. Rzeczywiście w 1471 r. Władysław Jagiellończyk został królem czeskim. Niewiele zyskali na tem Czesi, bo Władysław był bierny, bez żadnej energii i inicjatywy. Dla tych właśnie cech swego charakteru pozyskał sobie tron węgierski.

Tymczasem do Czech wysuwali pretensje Habsburgowie, jako spadkobiercy Władysława Pogrobowca. Co więcej, doprowadzili nawet do tego, że na Kongresie wiedeńskim w 1515 r., w którym brał udział Władysław, król Czech i Węgier, cesarz Maksymiljan i Zygmunt Stary, ułożono małżeństwo Ludwika i Anny, dzieci Władysława, z Marją i Ferdynandem, wnukami cesarza. Szczęście sprzyjało Habsburgom. W 1526 r. Ludwik, następca Władysława, zginął w bitwie z Turkami pod Mohaczem, a Ferdynand został królem czeskim. Trudniej mu poszło z Węgrami, ale to nas teraz nie obchodzi.

Od tego czasu stosunki polsko-czeskie znowu się przerywają. Cesarze starają się umocnić swą władzę i wyzyskać Czechów dla swoich własnych celów. Równocześnie starają się ich wynarodowić i narzucić im kulturę niemiecką. Jeszcze raz na początku XVII wieku budzi się instynkt narodowy czeski, lecz klęska pod Białą Górą (1620) pogrzebała na długo nadzieje zdobycia niepodległości. Wyższe warstwy, jak to się zwykle dzieje w podobnych wypadkach, pierwsze przywykły do nowego regime'u, przyjmując język i kulturę niemiecką. Narodowość czeska ukryła się

w chatkach wieśniaków i drobnego mieszczaństwa. Polska nie wtrącała się zupełnie w sprawę czeskie, chociaż mogłoby to jej przynieść odzyskanie Śląska. Ale wtedy panował u nas Zygmunt Waza, który miał na widoku nie dobro Polski, lecz swoje plany dynastyczne. Podobnie i Władysław IV, chociaż Francja za pomoc przeciw cesarzowi przyrzekała mu Śląsk, wtedy jeszcze zupełnie polski i pamiętający rządy Zygmunta Starego, pozostał neutralny. Dopiero Sobieski pomyślał o tej sprawie i zawarł z Francją przymierze, celem odzyskania starej dzielnicy piastowskiej. Ale i jego zamiary spełzły na niczem, bo wobec grożącego niebezpieczeństwa tureckiego, Polska musiała wyrzec się przymierza z Francją, a zawrzeć je z cesarzem. Od tej pory Polska nie upominała się o Śląsk, ponieważ w niespełna sto lat później straciła niepodległość. Oczywiście przerwały się wtedy stosunki polityczne polsko-czeskie, natomiast nawiązały się stosunki kulturalne i społeczne między Galicją, a Czechami, ponieważ te duże prowincje związane były wspólnotą interesów, gdy chodziło o przeciwstawienie się germańskiej części monarchji. To też pewne współdziałanie nastąpiło po Kongresie panslawistycznym w Pradze 1848 r. i po uchwaleniu konstytucji w 1867 r.

Wreszcie przyszła wojna europejska. W czasie czteroletniego jej trwania powoli, lecz coraz wyraźniej wylaniała się sprawa niepodległości Czech i Polski. Z jednej strony Masaryk i Benes, z drugiej Paderewski i Dmowski zabiegali o to u koalicji. Jednakże z chwilą uzyskania niepodległości przez oba państwa, należało rozstrzygnąć, któremu z nich przyznać Śląsk Cieszyński. Zarówno Polska, jak i Czechy uważały go za swą własność. Przyszło do walki orężnej. W walce tej przewagę zyskali Czesi, ponieważ nie mieli innych kłopotów wewnętrznych, jak np. Polska na wschodzie. Zajęli więc Orawę, Spisz i część Śląska Cieszyńskiego, które to ziemie koalicja przyznała Polsce. Czesi ani myśleli zastosować się do tej decyzji. Polska zaś miała sprawy ważniejsze, musiała powstrzymać czerwoną zagładę, która szła na nią od bolszewickiej Rosji. Próżne więc były protesty. Czesi nie tylko zatrzymali zagrabioną terytorję, lecz, pod pozorem zachowania ścisłej neutralności, nie przepuścili przez swe ziemie transportów broni i amunicji francuskiej w 1920 r.

Czas jednak zaciera wzajemne urazy i niechęci. Polska, prowadząca wybitnie pokojową politykę, dąży do współżycia ze wszystkimi państwami, więc, choć na dalszą metę nie wyrzeka się straconych ziem, stara się nawiązać z Czechami bliższe stosunki, nie napotykając zresztą w ostatnich czasach na większe trudności. Zawarła więc z nimi traktat handlowy i umowę turystyczną, która ogromnie ułatwia przekroczenie granicy w celach sportowych i turystycznych. Znaczne pokrewieństwo językowe wpływa też na zbliżenie kulturalne. Jeżeli weźmiemy pod uwagę Słowaków, to ich język niewiele więcej różni się od polskiego, niż od czeskiego, wskutek tego wielu studentów z za Karpat mamy w uniwersytecie we Lwowie i w Krakowie.

Wreszcie zbliżenie polityczne stało się nakazem chwili, gdy Niemcy podniosły sprawę „Anschlussu“. O ile połączenie Niemiec z Austrią byłoby niebezpieczne dla Polski, to tem bardziej dla Czech, które wówczas byłyby ujęte w kleszcze germanizmu i w razie wojny nicby ich nie uratowało. Czesi oceniają to niebezpieczeństwo i na terenie międzynarodowym starają się współdziałać z Polską.

Teraz zaś, gdy Niemcy całą siłą zdążają do obalenia traktatu Wersalskiego i zanulowania reparacyj, to współdziałanie jest warunkiem sine qua non dla bezpieczeństwa i rozwoju obu narodów.

Aleksander Szczepan Pieniążek, kl. VII.

O „Dziadach” Cz. III słów kilka

Katastrofa trzeciego rozbioru spadła na naród polski po okresie wytężonej pracy najlepszych jego synów w kierunku dźwignięcia ojczyzny z upadku i stworzenia z niej praworządnego i silnego państwa. Utrata niepodległego bytu znaczyła kres wszelkim wysiłkom reformatorskim, wszelkiej działalności narodowej i politycznej, skupionej dawniej około Sejmu Czteroletniego. Wszystko runęło w gruzy. Świadomość tego okropnego stanu napełniła rozpaczą bezgraniczną przede wszystkim tych, którzy pracowali nad wielkim dziełem reformy i brali udział w wojnie 1792 r., oraz w powstaniu Kościuszkowskim. Upadek państwa wydawał im się równoznaczny z zatrąceniem narodu i narodowości, do czego przyczyniło się w znacznej mierze i to, że ziemie polskie, podzielone na trzy dzielnice, utraciły związek fizyczny, a przede wszystkim duchowy z sobą i wciągnięte zostały w obręb obcych im organizmów państwowych, starających się na różne sposoby wchłonąć w siebie i zasymilować nowonabyte prowincje.

Dzięki wszakże emigracji i okrytym nieśmiertelną chwałą legionom, powstaje Księstwo Warszawskie, które staje się zaczątkiem niejako przyszłej Polski. Z powstaniem Księstwa rozszerza się i pogłębia praca nad podniesieniem oświaty.

Największy jednak rozkwit ruchu umysłowego w początkach XIX stulecia przypada na t. zw. kraje zabrane, przede wszystkim zaś na Litwę i Wołyń. Złożyły się na to różne okoliczności, a głównie działalność uniwersytetu wileńskiego, będąca chlubnym świadectwem siły i żywotności żywiołu polskiego na Litwie. Uniwersytet ten, podupadły na przełomie XVII i XVIII wieku, dzięki reformie, jaką w nim przeprowadziła Komisja Edukacyjna i wydajnej pracy swego rektora, dźwiga się z upadku i staje się znowu ogniskiem oświaty na cały kraj zabrany. Uniwersytet dąży do tego, by ograniczone w swych prawach, połączone unją personalną z despotycznym cesarstwem rosyjskim, Królestwo Kongresowe, uczynić ośrodkiem, w którym miała się skupić praca nad wskrzeszeniem Polski w dawnych granicach; a pracuje tem intensywniej, im bardziej stało się widoczne, iż polityka rosyjska zmierza systematycznie i wytrwale do zniszczenia swobód konstytucyjnych, zagwarantowanych Polsce i, że współzycie z Rosją w takich warunkach musi się skończyć zamianą Królestwa w prowincję rosyjską o nikłych pozorach odrębności. Chlubnie zaznaczyła się działalność uniwersytetu w kierunku opieki nad istniejącymi szkołami średnimi i w zakładaniu nowych.

Praca więc uniwersytetu jest uciążliwą walką kulturalną o zachowanie języka i narodowości na kresach.

Po Kongresie wiedeńskim zaczęły się szerzyć w całej Europie tajne związki; było ich wiele i w Polsce. Młodzież wileńska zawiązała też stowarzyszenie filomatów t. j. przyjaciół nauk.

Związek ten to wzór zogniskowania serc i umysłów, nadzwyczajny przykład podniesienia ducha narodowego, jak też społeczno-etycznego poziomu wśród młodzieży. Owiął on uczucia młodego Mickiewicza tchnieniem szczytnych ideałów miłości i poświęcenia, ciepłem serc braterskich rozpalił jego wyobraźnię.

Senator Nowosilcow, oddawna patrzący niechętnie na uniwersytet wileński i na wychowanie publiczne, pozostające w rękach polskich, skłonił cesarza Aleksandra do oddania mu nadzoru nad szkolnictwem w Wilnie. Na jego zarządzenie zamknięto szereg szkół i poczęto masowo aresztować młodzież. Studentom wileńskim wytoczono proces. Między innymi zaaresztowano też Mickiewicza i Zana.

Pobyt Mickiewicza w ponurej celi więziennej, niewinnie znoszone prześladowania, rzuciły w duszę młodego poety posiew nienawiści względem przewrotnych przedstawicieli rosyjskiego systemu rządzenia. Wszystkie wrażenia, jakich w tym czasie doznał, nocne tajemne schadzki z towarzyszami niedoli, wspólne rozmowy, śpiewy i samotne rozpamiętywanie, wieści o udręczeniach, jakie znosili inni nieszczęśliwi — wszystko to gromadziło się w jego duszy, jako materiał wybuchowy, który w stosownej chwili, pod działaniem silniejszego bodźca, wybuchnąć miał potężną rzeką ognia.

I wybuchnął w III-ciej części „Dziadów“. W utworze tym kreśli nam poeta dwa światy. W pierwszym mamy męczenników sprawy narodowej, gorąco miłujących ojczyznę, gotowych dla niej na największe tortury, a nawet na śmierć. Rozrzewniająca jest miłość wzajemna i przywiązanie młodych skazańców, ich ofiarność, w czem przoduje wszystkim Tomasz Zan. Jednak na pierwsze miejsce wysuwa się Konrad. Współwięźniowie uznają w nim swego mistrza i wodza, kochają go i uwielbiają. Już przy końcu sceny pierwszej poznajemy talent improwizatorski Konrada; w krwawej żądzy odwetu wznosi się on ponad ludzkość, aby wyczytać w księdze przyszłości losy Polski, lecz przejętemu pragnieniem zemsty, zasłania widok czarny kruk, którego przewyciężyć nie może. Wyżej jeszcze wzbija się Konrad na skrzydłach uczucia w wielkiej improwizacji. Lecz nie jest to czyste uczucie miłości. Błagając Boga o rząd dusz, nie może się wyzbyć pychy, która szepce mu słowa groźne, słowa buntu, a nawet bluźnierstwa. Dlatego też nie otrzymuje odpowiedzi. Bóg mu jednak przebaczył, gdyż Konrad bluźnił, przejęty bólem i rozpaczą z powodu cierpień narodu, a nie swoich własnych.

Ksiądz Piotr natomiast jest uosobieniem ostatniego etapu rozwoju duchowego poety i wyraża jego czystą miłość Boga i ludzi. Nie pragnie on zemsty, przebacza wrogom, którzy go znieważają i policzkują, podnosi upadłych i bierze na siebie pokutę za ich grzechy. Cierpi również okrutnie na widok umęczonej Ojczyzny, lecz z pokorą użala się Bogu, który go pociesza i rozsnuwa przed nim wizję zmartwychwstania Polski.

Jakże jaskrawo odbijają od tych bohaterskich męczenników czarne dusze czynowników carskich: Bajkowa, Pelikana, doktora Becu, z Nowosilcowem na czele. Główny herszt tej bandy, Nowosilcow, skupił w sobie

wszystkie ujemne cechy barbarzyńskiego wschodu. Okrutny, podstępny, chytry, nie wahający się przed użyciem najgorszych nawet środków, byleby zaprowadziły go do celu; przytem cyniczny zbrodniarz i pijak. Słowem natura podła. Wróg to tem niebezpieczniejszy, że potrafi zachować pozory kulturalne i w potrzebie przybrać maskę światowego człowieka. Z zachwytem wpatrują się w niego czynownicy, ich żony i córki, dla których stanowi niedościgniony ideał i wzór godny naśladowania.

III-cia część „Dziadów“, co do budowy swej, jest jednym niejako aktem dramatycznym z prologiem. Akt ten składa się z szeregu scen, w których, jak w dramacie, występują osoby, prowadzące ze sobą dialogi, lub wygłaszające monologi. Utwór ten jednak nie jest właściwym dramatem, lecz posiada tylko szatę dramatyczną, stanowi go bowiem dzie wię scen, ujętych sposobem scenicznym i luźnie ze sobą związanych. Poeta zarzucił tu nietylko jedność miejsca i czasu, nietylko nie starał się o ześrodkowanie akcji w jednym kierunku, lecz nie dbał nawet o zachowanie jedności w osobie bohatera. Język i wiersz są w rękach Mickiewicza posłusznym narzędziem, którem posługuje się umiejętnie, zarówno przy kreśleniu pieśni lirycznych, scen dramatycznych, jak też i spokojnych ustępów epicznych. W opisach rozwija poeta tyle epickiego kunsztu, tyle plastyki i obrazowości, zapomocą zupełnie prostych środków, że w ustępach tych wyraźnie uwydatnia się wielki genjusz wieszcz. Gdzieindziej znowu ugrupowanie zdań krótkich, zwartych, urywanych oddaje w sposób dramatyczny gwałtowne wzburzenie uczuć. Tam natomiast, gdzie chodzi o oddanie łagodnych, miłych marzeń sennych, jak np. w chórze aniołów, otaczających łożę usypiającej Ewy, zdobywa się poeta na tyle miękkiego czaru, takich używa słów lekkich, cicho brzmiących, takim przemawia subtelnym szeptem, taki obiera rytm jednostajny, kołyszący, polotny i taneczny, że zdaje się nam, jakbyśmy własnymi oczyma oglądali w tej chwili tę grupę aniołów i słyszeli ich śpiew.

Styl Mickiewicza przyozdobiony jest mnóstwem porównań i przenośni, czyniących jednak wrażenie zwrotów naturalnych, niewymuszonych.

Rytm zmienny, zastosowany do treści, a nie trzymający się jednego szablonu, potęguje dosadność wyrazu.

Tak tedy i mistrzostwo formy i bogactwo treści składają się na to, że „Dziady“ są nietylko drogą relikwią narodową, ale i jednym z najcenniejszych arcydzieł naszej poezji romantycznej.

Juljan Lewczuk, kl. VII.

P r o ś b a

Dusza ma, Panie, Twej łaski spragniona,
Co bezustannie z serca Twego płynie —
Cały drżąc, tulę się do Twego łona,
Niech mnie jej drobny promyk nie ominie.

Bez Twojej pomocy nie zrobię ni kroku
I nic dobrego uczynić nie mogę —
Więc wyrwij Ty mnie z pośród błędów mroku
I dodaj siły w dalszą życia drogę.

Niech dobroć Twoja mą duszą kieruje —
I jako sternik na swoim okręcie
Rozważnym ruchem wśród fal go ratuje,
Tak Ty mnie ratuj w tym świata odmęcie.

A kiedy skończy się życiowa męka
I ciało moje w zimnym legnie grobie,
Niech dusza więcej mroków się nie lęka,
Bowiem, o Panie, oddaję ją Tobie!

Juljan Joński, kl. 6-ta.

Zanim rozmiłowałem się w Mickiewiczu

(Garść wspomnień)

Większość pisarzy możemy podzielić na dwa typy: jedni piszą popularnie, prosto, aby nawet ludzie bez głębszego wykształcenia mogli ich zrozumieć, drudzy utrzymują swe prace na wyższym poziomie, że trzeba mieć staranne przygotowanie, aby można było je czytać. Niewielu zaś jest takich, którzy łączą w sobie te dwa typy.

Do nich właśnie należy Mickiewicz. Jego ballady, „Konrada Wallenroda“, „Grażynę“, „Pana Tadeusza“, „Dziady“ czytać można w różnych okresach życia i na różnym poziomie wykształcenia i w każdym z tych okresów co innego będzie się nam podobało. Dlatego to najbardziej ze wszystkich poetów podoba mi się Mickiewicz.

Pierwszy raz spotkałem się z nim, gdy jeszcze nie uczęszczałem do szkoły z powodu wątłego zdrowia. Miałem wtedy lat siedem. Czytać już umiałem od dość dawna, bo sztuki tej nauczył mnie starszy brat. Miałem jakąś bardzo grubą książkę i z niej chętnie czytałem różne opowiadania i bajeczki po kilka razy, tak, że niektóre umiałem już napamięć. Szczególnie lubiłem wierszyki. Brat podzielał to moje zamiłowanie i kiedy zapytałem go raz, jaki jest najładniejszy wierszyk w tej książce, odpowiedział, że najbardziej podoba mu się: „Pójdźcie o dziatki“. Zacząłem więc szukać tego wiersza, aby sprawdzić, czy naprawdę jest on tak piękny. Ale na próżno. W spisie rzeczy podobnego wiersza nie było. Wtedy zdecydowałem się na trud niemały: postanowiłem przeczytać wszystkie wierszyki z całej książki. I w ten sposób natrafiłem na „Powrót taty“ — Mickiewicza, zaczynający się od

słów: „Pójdźcie o dziatki“. Jakże byłem zadowolony i wynagrodzony za moje trudy! Ballada podobała mi się niezmiernie. W parę dni potem umiałem ją już napamięć i deklamowałem każdemu, bez względu na to, czy chciał, czy nie chciał mnie słuchać — nawet memu ulubieńcowi — Nepcikowi.

Minęło od tego czasu dwa lata i kilka miesięcy. W szkółce naszej czterooddziałowej odbywało się święto zakończenia roku, czyli t. zw. popis. Śpieszyłem na tę uroczystość i ja, ażeby otrzymać świadectwo ukończenia szkoły. Tu, oprócz uczących się dzieci, zgromadzili się też rodzice, przeważnie matki, bo ojcowie zajęci byli pracą w polu. Przed rozdaniem cenzur miały miejsce deklamacje, w których i ja wziąłem udział. Mówiłem „Powrót taty“. Chociaż deklamowałem jak nakręcona katarynka i z powodu tremy zmyliłem się ze trzy razy, to jednak spostrzegłem, że ballada podobała się słuchaczom. Widziałem jak jedna ze starszych kobiet obcierała sobie łzy z oczu końcem chustki. Widocznie słowa Mickiewicza trafiły i do serca wieśniaczki.

Po raz drugi spotkałem się z Mickiewiczem w oddziale szóstym. Moje zamiłowanie do lektury znacznie się zmieniło. Nie lubiłem już wierszy. „To dla dzieci“ — mówiłem z pogardą.

Dla ludzi już prawie dorosłych, jak ja, nie wypadało brać ich do ręki, aby nie narazić się na wyśmianie i drwiny kolegów. Za najodpowiedniejszą lekturę dla siebie uważałem teraz różne przygody podróżników, marynarzy, traperów, a nadewszystko „książki o Indjanach“. Pamiętam, że jeśli ktoś w klasie zdobył taką książkę, to trzymał ją dopóty, dopóki wszyscy jej nie przeczytali. Również pożądane były książki z kryminalistyki, przygody sławnych detektywów, niezwykłych bandytów, opryszków i t. d.

Jedni przed drugimi przechwalaliśmy się z szybkiego czytania. Ten czytał 100 stron na godzinę, tamten 120, inny aż 150. Właściwie nie było to czytanie, tylko „polykanie“, w którym i ja nieostatnie zajmowałem miejsce. Bardzo często czytaliśmy książki na lekcjach matematyki, historii, geografii, a sztuka tego czytania była doprowadzona wprost do mistrzostwa, że nauczyciele rzadko chwyтали nas na gorącym uczynku.

Ale wróćmy do Mickiewicza.

Pewnego razu, w niedzielę, nie miałem nic do czytania. Nie mogłem wyjść do kolegów, bo padał deszcz, więc nudziłem się. Pytam brata, czy nie ma czasem jakiej książki.

— Mam — mówi — „Pana Tadeusza“. Przeczytaj go sobie, bo na przyszły rok będziecie go przechodzić.

— A czy to ładna rzecz?

— Naturalnie. Jest to najpiękniejszy utwór w polskiej literaturze.

Wziąłem go do ręki.

— E, e, e... wiersze, to pewnie nic nie warte. Czytaj — przekonwał brat — a zobaczysz.

— Trudno, niema nic lepszego, to muszę. Męczyłem się nad nim i wreszcie przeczytałem.

— No i jak ci się podobał? — pyta brat.

— Strasznie nudny, tylko bitwa jest dość zajmująca, reszta — do wrzucenia w piec.

Takie było moje zdanie o „Panu Tadeuszu“. Kiedy na lekcji w oddziale siódmym nauczycielka zaczęła go omawiać i czytać z nami, nazywając arcydziełem literatury polskiej, wtedy już naprawdę nie wiedziałem co o tem myśleć. Przecież, według mnie, o wiele lepiej i przyjemniej byłoby czytać „Przygody detektywa Jacka Pinkertona“, (które właśnie trzymałem pod ławką) lub jaką powieść Londona, niż nudzić się „arcydziełem“.

Owszem, pisze i Mickiewicz cudowne rzeczy, niedawno n. p. czytałem „Konrada Wallenroda“ i umiem na pamięć: „Już w gruzach leżą Maurów posady, naród ich dźwiga żelaza“. Śliczne są jego ballady, ale „Pan Tadeusz?“ Stanowczo utwór nieudały.

Wreszcie nie wytrzymałem i zapytałem nauczycielki, na czem polega ta wielka wartość „Pana Tadeusza?“. Nauczycielka zaczęła mi tłumaczyć, mówić o skarbach myśli w nim zawartych, o tych przepięknych opisach przyrody i t. d. i t. d., ale ja po wyjaśnieniach taki byłem mądry, jak i przedtem. „Piękne opisy przyrody?“ To i cóż? Czy mam się rozczulać każdą spróchniałą wierzbą, lub kapustą w ogrodzie z dziurawym płótem?

Za tę opozycję wyleciałem za drzwi i od tej pory siedziałem cicho. Jednak zauważyłem, że wszyscy koledzy podzielali moje poglądy, a nawet jeszcze mniej rozumieli ode mnie, bo z języka polskiego stałem najlepiej w klasie. Nie przeszkadzało to jednak nikomu pisać w wypracowaniach, że „Pan Tadeusz“ to rzecz naprawdę zachwycająca, bo przecież chodziło tu o stopień.

I tak przerobiliśmy w szkole całą tę epopeję, a ja nic z niej nie rozumiałem. Stało to w ścisłym związku z moim stosunkiem do przyrody. Nie odczuwałem wówczas jej piękna, więc nie mogłem go odczuć i w „Panu Tadeuszu“.

Minęło dwa lata. Byłem uczniem klasy piątej w naszej szkole. Przerabialiśmy znowu „Pana Tadeusza“. Gdy wziąłem go wtedy do ręki, wprost nie mogłem uwierzyć, że to ten sam, którego obrabialiśmy w siódmym oddziale. Zachwycałem się każdym jego ustępem. Gdy zacząłem czytać: „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie“... albo „Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy, I w Ostrej świecisz Bramie, Ty, co gród zamkowy“... i t. d.? to chwyciłem się za głowę: „Jak ja mogłem, jak mogłem nie rozumieć tego przed dwoma laty!?“

Teraz już nie dziwiłem się, że uważają go za arcydzieło literatury polskiej. Zdaje mi się, że kluczem do jego zrozumienia stało się dla mnie zrozumienie piękna przyrody. Wprawdzie jeszcze sam nie umiałem go wynaleźć, ale odczuwałem je, gdy mi je wskazano.

Czytałem w tym czasie i trzecią część „Dziadów“. Szczególną uwagę zwróciłem na tę wychwaloną i podziwianą „Wielką Improwizację“. Ale i tym razem doznałem zawodu. Znalazłem masę nagromadzonych słów, z których w żaden sposób nie mogłem wyłuskać treści i sensu. Jednym słowem „Wielka Improwizacja“ wcale mi się nie podobała, ale zdawałem sobie z tego sprawę, że zrozumie ją, gdy przyjdzie czas.

I znowu minęły dwa lata. Na lekcji języka polskiego p. profesor czyta „Wielką Improwizację“. W klasie panuje cisza nadzwyczajna i słychać tylko jego głos, to głośniejszy, to cichszy, zależnie od treści deklamowanego utworu. Dla mnie nie jest to już „masa nagromadzonych słów“.

Rozumiem teraz poetę, współprzeżywam jego walkę. Nagle przypomina mi się zdanie, wypowiedziane do nauczycielki: „Lepiej czytać Pinkertona, niż dzieła Mickiewicza” — i wbrew mej woli, bez zastanowienia, rozśmiałem się prawie w głos.

Profesor spojrział na mnie zgorzony i rozgniewany:

— Czego się śmiejesz?

— Nic, panie profesorze, przepraszam, to wróble biły się tak śmiesznie na dachu.

— Wstydz się, żeby się zajmować wyglądaniem za okno, a nie uważać.

— Już będę uważał, napewno.

I rzeczywiście siedziałem skupiony do końca godziny.

Sz. Aleksander Pieniążek kl. VII.

Reforma szkolnictwa St. Konarskiego

Wadliwy stan państwowości polskiej i ustroju społecznego, których oplakane skutki okazały się w epoce saskiej, nie mogły długo uchodzić uwadze społeczeństwa, które przeszło tak znakomitą szkołę polityczną za Jagiellonów. Światlejsze umysły widziały zbyt dobrze, co czeka w przyszłości państwo i naród cały, aby mogły dłużej milczeć i patrzeć spokojnie, jak Polska, toczona rakiem niezgody i anarchji, stacza się po równi pochyłej w przepaść, gdzie znajdzie swój koniec, swój grób. Zaczyna powoli spadać łuska z oczu, coraz więcej ludzi spostrzega grożące niebezpieczeństwo i budzi się reakcja, zmierzająca do przeciwdziałania bliższemu nieszczęściu, zwłaszcza, że w tym czasie z zagranicy zaczęły przedostawać się do kraju nowe prądy polityczne i społeczne, których piastunką była rozwijająca się inteligencja mieszczaństwa francuskiego.

Raz przyjęte z zagranicy myśli, a nawet całe systemy filozoficzne, zaczynają rozwijać się w społeczeństwie, nurtują naród, przybierają charakter więcej swojski i już jako takie zyskują w kraju obywatelstwo. Pod ich wpływem ukazują się polskie utwory publicystyczne, zrazu nieśmiałe i rzadkie, później coraz śmielsze i częstsze. Dochodzi nawet do tego, że wyłania się coraz ostrzejsza krytyka ustroju państwowego. Szczególnie atakuje się „liberum veto”, osłabienie władz rządowych, bezsilność państwową, występuje się w obronie uciskanego mieszczaństwa, a nawet porusza się sprawę chłopów, wyzyskiwanego w okrutny nieraz sposób przez pana. Krytyka ta spowodowała, że zaczynają ukazywać się programy reform, opracowywane przez jednostki znakomite, umiejące należycie ocenić potrzebę zbawczych zmian tak politycznych jak i społecznych. W całym zatem kraju budzi się coraz żywsze zainteresowanie temi sprawami, a odbywający studia zagranicą, po powrocie do ojczyzny, stają się rzecznikami nowych kierunków.

Panowanie jednak Augusta III-go było wielce niepodatne dla rozwoju ruchu reformatorskiego, dwór bowiem propagował zachowawczość i przesadną religijność, a co więcej, wrodzona naszej szlachcie niechęć

ku wszelkiemu nowatorstwu, stała silnie na przeszkodzie rozwojowi myśli postępowej, zwłaszcza, że wraz z nowymi prądami zaczęła przedostawać się do kraju wolnomyślność obyczajowa i coraz częściej strój narodowy zamieniano na obcy, co wszystko w oczach ciemnego, lecz szczerze przywiązanego do kontusza i tradycji narodowych szlachcica, zmniejszało wartość już i tak z uprzedzeniem przyjmowanych hasel reformatorskich.

Znalazł się jednak w tym czasie mąż, który, rozumiejąc, że ówczesne społeczeństwo szlacheckie nie stanowi odpowiedniego gruntu dla reform, postanowił stworzyć podatną do tego celu glebę z młodego pokolenia, które stosownie urobione i wykształcone, mogłoby w przyszłości nie tylko uchronić ojczyznę od zagrażającego jej niebezpieczeństwa, lecz nawet postawić ją w rzędzie pierwszych potęg Europy. Tym mężem opatrnościowym był ksiądz Stanisław Konarski, autor dzieła „O skutecznym rad sposobie“. Wytknąwszy sobie jasno cel, umiał on dążyć do niego z żelazną wolą i niesłabnącą energią. Hasłem jego było: Przez szkolnictwo i młodzież odrodzić naród cały.

Podczas swych studjów w Rzymie, a następnie w Paryżu, zapoznał się doskonale ze stanem umysłowym Zachodniej Europy, to też ciemnota w Polsce wydała mu się jeszcze niebezpieczniejszą dla kraju, niż słabość rządu, która pochodziła właśnie z nieuświadomienia narodu. Obdarzony wielkim rozumem, ale jeszcze większym sercem, poświęcił się całkowicie pracy dla dobra ukochanej ojczyzny. Rozumiejąc, że krajem, mimo zdania: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, rządzi bądź co bądź magnateria, postanowił odpowiednio oddziaływać na tę warstwę, mającą największe wpływy na rządy. W tym celu zakłada w Warszawie w r. 1740 „Collegium Nobilium“, szkołę wyłącznie dla szlachty. Miała ona jednocześnie doświadczyć wartości nowego systemu na wzór zagranicy. Gdy zaś próba ta udała się znakomicie, reformator nie poprzestaje na tem, lecz przeprowadza reformę wszystkich szkół pijarskich na wzór szkół włoskich i francuskich, co przyszło mu tem łatwiej, że piastował w tym czasie godność prowincjała pijarów polskich. Dzielny ten mąż przez reformę szkolnictwa zmierzał do reformy państwa, a zabrał się do tego niezwykle umiejętnie, gdyż przez arystokrację zjednywał dla swej sprawy cały ogół szlachecki. Wiekopomną jego zasługą jest to, że dzięki reformie szkolnej u pijarów, inne zakony, prowadzące szkoły, poszły za przykładem szkół pijarskich i w ten sposób rozpowszechnić zaczęła się po całym kraju prawdziwa oświata w duchu już nowoczesnym. Wiadomo zaś, że państwowego szkolnictwa jeszcze wtedy nie było i cała ówczesna nauka spoczywała w rękach szkół zakonnych.

Reforma Konarskiego polegała na usunięciu przestarzałego scholastycyzmu, a oparciu całej nauki na doświadczeniu, według systemu najznakomitszych nowoczesnych myślicieli angielskich, francuskich i niemieckich. Gdy przedtem nauka polegała na samem tylko rozumowaniu i bezmyślnem wkuwaniu, to obecnie ma ona charakter więcej eksperymentalny, utylitarny. Poprzednio kładziono nacisk przedewszystkiem na naukę religji, teologii, a zwłaszcza łaciny, teraz zaś przedmioty te nieco ograniczono, a wprowadzono nauki przyrodnicze. Łacina przestała już tak bezwzględnie królować, ale zato język ojczysty wiele zyskał, młodzież bowiem, obok dzieł klasycznych, poznawała literaturę narodową. Wprowadzono też do programu szkolnego geografję, historję powszechną i ojczyzną, naukę prawa, matematykę, a co więcej, języki nowoczesne, zwłaszcza

francuski, gdyż Konarski rozumiał doskonale, że Polska, by dorównać w swym rozwoju innym państwom, nie może odgraniczać się nadal „murem chińskim“ od kultury Zachodu. Szkoła Konarskiego nie miała jednak na względzie tylko kształcenia umysłów, lecz przede wszystkim serc. Miała ona wychować państwu ludzi światłych, dobrych obywateli i gorących patriotów, gotowych życie oddać w obronie zagrożonej ojczyzny. I rzeczywiście zadanie swoje spełniła znakomicie. Zreformowane, owiane nowożytnym duchem szkoły, zwłaszcza zaś „Collegium Nobilium“, wydały cały szereg ludzi szlachetnych, miłujących prawdziwie swoją ojczyznę, godnych synów Polski.

Reforma szkolnictwa miała dla nas ogromne znaczenie, dzięki bowiem jego reorganizacji zaczęła podnosić się kultura narodowa i z niedawno jeszcze tak zasklepionego i ciemnego społeczeństwa wyszła wiekopomna reforma, znajdująca swój wyraz w Konstytucji 3-go Maja, która zadziwiła świat cały i pokazała, że Polska to państwo kulturalne, a nie ciemne i zacofane. Niestety odrodzenie, zbyt późne, nie zdołało uratować Polski od rozbiorów, sprawiło wszakże, iż przetrwała ona półtorawiekową niewolę, zachowała swoją narodową kulturę i mimo wszelkich wysiłków ze strony naszych trzech zaborców, nie została wynarodowiona.

Edmund Jankowski kl. VII.

Obrona przeciwgazowa

Wojna światowa w 1914 r. zapoczątkowała okres nowej walki, walki gazowej. Już wtedy zrozumiały wszystkie narody znaczenie gazów trujących, ponieważ odczuli na własnej skórze ich działanie.

Wprawdzie w r. 1899, a następnie w r. 1907 przedstawiciele większych państw podpisali umowę, w której zobowiązali się nie używać gazów trujących podczas przyszłych wojen, umowa ta jednak pozostała tylko kartą papieru, zaopatrzoną podpisami wybitnych jednostek. Człowiek w niebezpieczeństwie nie liczy się ze środkami dozwoleńmi do obrony, używa wszystkiego, czem może uratować życie. Tak właśnie było z Niemcami, którzy, otoczeni przez koalicję, pozbawieni żywności, chcieli jak najszybciej skończyć wojnę, nie liczyli się więc z danymi zobowiązaniami.

Pierwszego napadu chemicznego dokonali Niemcy pod Bolimowem, w okolicy Skierniewic, 31 stycznia 1915 r., następnego 21 lutego tegoż roku na froncie zachodnim, w Nieuport. Nieodpowiednie warunki atmosferyczne były powodem, że oba te napady zupełnie się nie udały. Nie zniechęciło to wszakże Niemców. Kiedy pod Verdun nie mogli przerwać linii wojsk francuskich, dokonali po raz trzeci napadu chemicznego na zgrupowane tu wojska koalicyjne 22 kwietnia 1915 r. Na niewielkim odcinku ustawili około 6000 butli z chlorem, z których po odkorkowaniu wydostał się na powierzchnię gaz, w postaci żółto-zielonego obłoku. Tym razem warunki atmosferyczne sprzyjały Niemcom. Lekki wiatr pochwylił tę, zniszczenie niosącą chmurę, i zapędził ją na szeregi wojsk francuskich. Żołnierze nie byli przygotowani na tego rodzaju atak, zachwiali się ich

szeregi, popłoch ogarnął całe masy. Jeden z naocznych świadków tak o tem pisze: „Wojsko opanowało w pierwszej chwili zdumienie, później trwożę. Wkońcu zaś ci, którzy zdolni byli jeszcze poruszać się, uciekli w panicznym przerażeniu. Śmiertelna fala doznała ich i zniszczyła prawie wszystkich. Gdyby Niemcy umieli być ocenić wynik swego ataku, mogliby byli przełamać ostatecznie linje sprzymierzonych i wygrać, być może, wojnę“. Choć cały atak trwał tylko 15 minut, to jednak zostało zatrutych około 15,000 ludzi, co stanowiło 90% żołnierzy zgrupowanych na tym odcinku.

Skutki tego ataku wprost oszołomiły wojska koalicyjne, a także i samych sprawców napadu, Niemców, którzy z tego względu nie wykorzystali swego powodzenia. Wkrótce Francuzi poznali fabrykację tego zabójczego gazu, sami zaczęli go sporządzać i odwzajemniać się Niemcom. Dzień 22 kwietnia 1915 r. jest uważany powszechnie za początek stosowania broni chemicznej. Ataki gazowe, jakie ponawiali Niemcy na froncie zachodnim, nie cieszyły się później powodzeniem, dlatego też przenieśli swą działalność chemiczną na wschód. Niespodzianie uderzyli na zgrupowane pod Sochaczewem wojska rosyjskie, gdzie wytruli 11,000 ludzi. W dalszym ciągu wojny zaczęto używać coraz to innych środków chemicznych do napadów, oraz do odpięrania ich. Wszędzie zapanowała gorączkowa praca nad fabrykacją nowych gazów. W rok później Francuzi zaczęli używać pod Verdun: fosgenu, wensenu, chloropikryny oraz akroleiny. Rok 1917 był okresem największego rozwoju walki chemicznej. Wtedy już pojawiły się miotacze gazowe, wymyślone przez Anglika Livensa. Na ten również rok przypada wynalezienie gazu, zwanego iperytem. Niemcy pierwsi użyli go w napadzie na Francuzów pod Ypres.

W rok później został wynaleziony w Ameryce luizyt, gaz straszniejszy od iperytu. W obecnych czasach ilość gatunków gazów dochodzi do 300.

Broń chemiczną można podzielić na cztery zasadnicze grupy: gazy bojowe, które służą do zakażenia środowisk; dymy bojowe, które obok zakażenia środowisk posiadają własności przesłaniające, wskutek czego używa się ich do zasłaniania kolumn wojskowych; środki zapalające, przy pomocy których zapala się magazyny, czy inne objekty i wreszcie środki ochronne, które mają na celu unieszkodliwienie gazów i dymów bojowych, działających zabójczo na organizm.

Obok tego podziału istnieje następujące ugrupowanie gazów: gazy duszące, do których należy chlor, fosgen, dwufosgen i chloropikryna; gazy trujące: kwas pruski i tlenek węgla, zwany pospolicie czadem; gazy parzące, jak: iperyt, luizyt, sedenit; oraz gazy i dymy łzawiące, wywołujące kaszel, kichanie i wymioty. Gazy duszące działają na drogi oddechowe. Wydziela się pod ich wpływem nadmierna ilość śluzu, człowiek odczuwa brak powietrza i, nie tracąc przytomności do samego końca, umiera po upływie kilku minut.

Gazy trujące niszczą system nerwowy. Człowiek umiera w stanie nieprzytomnym. Gazy parzące są to właściwie ciecze, które w formie drobnych kropelek osiadają na ziemi.

Jeżeli człowiek zetknie się z niemi, zostaje poparzony, ciało jego pokrywa się trudno gojącymi się ranami, niby wrzodami i umiera wśród straszniejszych męczarni. Mniej szkodliwe są gazy i dymy łzawiące, wywołujące kaszel, kichanie i wymioty, chociaż i te powodują całkowitą

utratę wzroku. Również bardzo niebezpieczne są środki zapalające, przy zastosowaniu których nieprzyjaciół będzie wzniesł pożary, dające się ugasić tylko przy pomocy worków napełnionych piaskiem. Po zagazowaniu jakiegoś terenu, przebywanie na nim jest niebezpieczne nieraz około paru tygodni przy gazach parzących, przy innych zaś od paru godzin do trzech dni. Gaz, którym jest nasycone powietrze, daje się wyczuć przy pomocy odpowiednich środków chemicznych. Niezawsze jednak nieprzyjaciół może używać w walce gazów.

Powodzenie takiego ataku jest zależne przede wszystkim od warunków atmosferycznych, a następnie od terenu. Najdogodniejszy do tego celu jest pogodny ranek z niewielkim, bo od 3 do 5 metrów na sekundę, wiatrem, skierowanym na przeciwnika. Teren powinien być równy, nieco pochylony ku wojskom nieprzyjacielskim.

Prócz tego wielkie znaczenie ma temperatura i wilgoć zawarta w powietrzu. Chmura gazowa pod wpływem silnych promieni słonecznych szybko się rozprasza, wilgotny stan powietrza nie pozwala się jej rozchodzić. Przy walce chemicznej, obok butli gazowych, stosuje się miotacze bomb Livensa, miotacze min Stockesa, pociski artyleryjskie i granaty ręczne.

Ogromne tu znaczenie ma również lotnictwo, które podczas wojny światowej rozwinęło się w szalonym tempie. To też przyszlą wojnę wygra ten tylko naród, który będzie miał więcej samolotów. Tyle pokrótce można powiedzieć o rodzajach gazów i o ich stosowaniu podczas walki.

A teraz słów kilka o obronie. Początkowo ginęła od gazów masa ludzi, później zaś, po zastosowaniu środków obronnych, okazało się, że broń ta nie jest znów straszniejsza od innych, wymaga tylko intensywnej obrony.

Kto będzie umiał zachować się podczas ataku gazowego, ten nie zginie. Obronę przeciwichemiczną można podzielić na dwa rodzaje: obronę indywidualną i obronę zbiorową.

Pod obroną indywidualną rozumiemy obronę osobistą, to znaczy, że każdy człowiek sam ratuje własne życie.

Zaopatruje się w maskę przeciwgazową oraz w odpowiednie ubranie i buty przeciwiperytowe. Maskę gazową umożliwi mu w razie niebezpieczeństwa swobodne oddychanie. Chcąc jednak przebywać w masce przez czas dłuższy na miejscu zagazowanym, należy co pewien czas zmieniać niektóre jej części. Maskę więc jest konieczna tylko dla człowieka, który, mając do spełnienia jakąś ważną funkcję, musi trwać na swem stanowisku. Zwykle zaś praktykuje się obronę zbiorową, stosując do tego celu schrony, które dadzą się podzielić na dwie zasadnicze grupy: schrony nadziemne i podziemne. Schrony nadziemne są bardzo kosztowne i dlatego nie będą miały wielkiego zastosowania.

Schron taki ma kształt obszernego, murowanego budynku, niema w nim okien, drzwi zaś są podwójne i zamykają się bardzo szczelnie. Wewnątrz znajduje się kilka skomplikowanych wentylatorów, które oczyszczają powietrze. Należy wszakże pamiętać, aby w jednym schronie nie zgromadziło się za dużo ludzi, ponieważ wskutek braku powietrza mogłyby się podusić. Cały schron musi być zbudowany tak mocno, by

nie szkodziły mu nawet pociski armatnie. Schronem podziemnym natomiast może być każda masywnie zrobiona piwnica, w której dokonuje się nieznacznych zmian. Do wnętrza jej prowadzić musi dwoje szczelnych drzwi, przedzielonych niewielkim korytarzem, a to w tym celu, by nawet podczas ataku gazowego można było wpuszczać do niej ludzi. Naturalnie nie obejdzie się i tu bez wentylatorów i różnych aparatów chemicznych, z których można otrzymać tlen, niezbędny do oddychania. Podczas wojny w całym kraju muszą pełnić swe funkcje specjalne posterunki, których celem będzie donoszenie o akcji nieprzyjacielskiej do głównego dowództwa, a przede wszystkim obrona ludności cywilnej. Skoro pojawi się na horyzoncie eskadra samolotów nieprzyjacielskich, wtedy na sygnał kierownika obrony przeciwgazowej ludność gromadzi się w schronach, gdzie bezpiecznie przeczeka atak. Schrony więc są niezbędne, sama ludność powinna dbać o to, by ich powstawało jak najwięcej. Bez nich grozi zagłada ludności. Niech więc każdy zrozumie, że tu chodzi nie tylko o drugich, lecz o jego własne życie, dlatego też niech stanie do szeregów tych ludzi, którzy obronę przeciwgazową przygotowują. Na zgubne działanie gazów są wystawione i zwierzęta, to też i je należy zabezpieczyć, przez założenie im na narządy oddechowe worków zmoczonych, napełnionych sianem, lub też mokrych szmat. Jak już zaznaczyłem, niebawem znaczenie w przyszłej wojnie będą miały samoloty. Każdy więc dobry obywatel, którego interesują sprawy i losy państwa, powinien spieszyć z ofiarami na cele lotnicze. Od zachodu i wschodu mamy sąsiadów potężnych, którzy czyhają na naszą, niedawno z niewoli powstałą, ojczyznę. Lotnictwo ich stoi na bardzo wysokim poziomie i my pod tym względem nie powinniśmy znajdować się na szarym końcu.

Ciągle pretensje Niemców do naszego Pomorza i Śląska pogarszają sytuację. Przez gnębienie naszych rodaków, przebywających na ich terytorjach, Niemcy dążą do tego, by Polska wydała im wojnę. Sami nie chcą brać odpowiedzialności za zniszczenie, jakiego dokonałaby przyszła zawierucha. Niby nie wolno im się zbroić, a jednak te częste u nich wybuchy niszczycielskich gazów dają nam dowód, że ci sami, pokojowo usposobieni Niemcy, nie zważają na ograniczenia i pracują w dziedzinie tej bardzo owocnie. Dopiero przyszła wojna pokaże do jakich zdobyczy doszła ludzkość. Wprawdzie i Polacy nie próżnują, jednak brak zrozumienia tej sprawy przez szersze masy społeczeństwa, utrudnia pracę.

Stańmy więc do szeregów tych ludzi, którzy naprawdę dbają o dobro ojczyzny! Przez składki na „Ligę Obrony Powietrznej Państwa“ popierajmy nasze młode lotnictwo, które, będąc silne, odeprze nawałę nieprzyjaciół i uchroni nas od zagłady!

Stanisław Płodzień. kl. VII.

Wiosna w naszym parku

Na dworze cicho. Dalekie słońce rzuca słabe i wątle światło, a blade jego promienie, jak błędne, chwieją się na śnieżnym płaszczu pani zimy, po zbutwiałych konarach drzew i ciemnym parkanie. Tu i ówdzie z pod śniegu wynurza się stara gałązka, patyk, lub zaczerwienie parę rudych, przegniłych liści. Między drzewami stoją zniekształcone, nawpół

pokryte lodem, lawki. A wszystko to ponure, zimne, zdaje się trwać w nieustannym śnie zimowym, w stanie martwoty. Tylko przy karmiku, pod małym, rozłożystym wiązem nie ustaje życie.

— Jeść — jeść — jeść! — krzyczą napuszone wróble i jeden przez drugiego chwytają okruchy chleba, ziarenka zboża, co który może, byleby tylko zapełnić żołądek. A ileż przy tym krzyków, kłótni, wymyślań! Dookoła zaś po ziemi włóczą się siwe wrony i zazdrosnym okiem patrzą na małych zuchwalców. Ach! gdyby mogły dostać się do środka, pokazałyby wróblom, gdzie pieprz rośnie, ale niestety... Tamte zaś zdają się naigrawać z niezdarnych ruchów głodnych swych ciotek. Aż jeden z nich, uraczywszy się do syta, zdjęty może litością, upuścił okruszynę chleba na śnieg.

— Jedz — jedz, ciotko, jedz — zaświergotał do rzucającej się na nią łapczywie wrony.

Za jego przykładem poszły inne, ale też i wron przybywało coraz więcej. A że wróble, podobnie jak wrony, należą do towarzystwa, które nie mogłoby żyć bez trzepania językiem, to też wkrótce wywiązała się między nimi wrzawa.

— Uciszcie się! — wrzasnął wreszcie sołtys plebejatu wróblego, stając na krawędzi karmika.

— Słyszałem, że już wiosna idzie. Powiedziała mi o tem w sekrecie stara wierzba.

— Tak — tak — i ja słyszałem — potwierdził inny.

— Nie przeczę — ozwała się jedna z wron, przysuwając się co raz bliżej karmika. — Choć jestem stara, oczy mi nie mylą i zdaje mi się, że widziałam przelatującego skowronka.

— Śnisz ciotko — przerwał nadlatujący szczygieł. — O tej porze skowronka?!

— A cóż to, nie czas?

— Ach — westchnęła inna — może się nareszcie skończy ta bieda. Niema jak latem — wszystkiego po uszy. — Tu chciwie rzuciła spojrzenie na deseczkę z pożywieniem.

Ucichło wszystko, bo oto zaleciał lekki wiaterek, a z nim szeptał pobliskiego świerka.

— No i cóż się tak żalicie? — spytał — zimno wam? Cóż wam się tak spieszy, co? Wiosny wam się chce, wiosny? Miejcie jeszcze nieco cierpliwości. Czuję, że ziemia staje się jakby nieco miększa, a więc już niedługo...

— Niedługo, niedługo! — radośnie wykrzyknęły wróble.

— Łatwiej będzie o jakiś pokaźniejszy kąsek — prawie ze łzami dokończyła wrona.

I ta ptasia rozmowa toczyłaby się nie wiem jak długo, gdyby nie przerwało jej nowe zajście.

— Hurra! jeździmy!!! — krzyczał jeden z naszych kolegów, biegnąc na lód i wymachując łyżwami.

Jeździmy!! Brawo!! — zawtórowali mu inni i wkrótce cała ślizgawka

zaroła się od ruchomych postaci. Piękny to widok: lśniaca tafla lodu, a na niej uwijające się w przeróżnych pozach ciemne sylwety. Jedni posuwają się poważnie, od czasu do czasu zataczając koła i kółka, drudzy pędzą w tę lub inną stronę, inni wreszcie posuwają się niezdarne, zaczepiają łyżwami o lód, wywracają się, a wtedy jadą, ale na czworakach.

Nie biorący zaś udziału w sporcie, otuleni w ciepłe paltoty, spacerują grupkami lub pojedynczo dokoła parku, rozmawiając o przeszłych szczęśliwie lub nieszczęśliwie lekcjach, o obecnym kryzysie, albo też o nadchodzących ferjach wielkanocnych.

— Doprawdy — mówi jeden — czas w tym roku leci mi szalenie szybko. Pomyśl — dopiero było Boże Narodzenie, półrocze, a wkrótce będziemy mieli Wielkanoc.

— Tak samo i mnie, jak nigdy przedtem — odparł drugi. Mamy już czwarty marca i wiosna za pasem.

— Tak — wiosna, wiosna.

Ach, z jaką radością i rozkoszą wymawia się to słowo!

Rzeczywiście nadchodzi jasna, pełna uroku, królowa wiosna, a z nią zbrojne hufce, walczące krok za krokiem ze słabnącymi coraz bardziej siłami groźnej zimy.

Najpierw, jak to już stwierdziła wrona, ukazał się skowronek: „Sw. Agnieszka wypuściła go z mieszka“. Już i połowa marca; stan pogody zmienny. Dni naprzemian to pogodne i cieplejsze, to znowu mroźne i wietrzne. Na niebie ukazują się zwały chmur, wiatr dmie z całej mocy, lecą duże płaty lepkiego śniegu, a po pewnym czasie mija wichura, ustępują chmury, zjawia się blade słońce. I tak przez dłuższy czas zmagają się te dwa potężne żywioły, zima z wiosną. Szale zwycięstwa przechylają się to na tę, to na ową stronę. Wkońcu jednak zimę opuszczają siły. Jeszcze raz się podnosi, jeszcze chce walczyć, ale napróżno. Śniegu coraz mniej, a lód nasz z każdym dniem staje się miększy i nieprzydatniejszy do jazdy. Między drzewami tu i ówdzie zaczernieje już niewielka, ciemna plama ziemi. Tak, tak—prawdziwie nadchodzi już wiosna. Powietrze z każdym dniem, chociaż przepelnione wilgocią, staje się coraz łagodniejsze i miększe. I oto „na św. Grzegorza idzie zima do morza“. Słusznie. Około dwudziestego marca lód nam się doszczętnie rozpułnął, a resztki śniegu pozostały tylko gdzieś niegdzie w cieniach, pod płotami, dokąd nie dochodzą promienie słoneczne.

— Wiosna, wiosna! — naprzemian wydzierają się wróble.

— Wiosna — wtórują im drzewa, raźniej poruszając odmarzniętymi konarami.

— Idzie, idzie, nasza królowa — słychać ze wszęch stron głosy.

Na dole, między pniami drzew, zaczyna się nowe życie. Poruszyły się stare, zeschnięte rośliny, a z przegniłych ich korzeni wyłoniły się delikatne, blade listki. Nieśmiało rozejrzały się wokół i szepnęły niepewnym głosem: Już czas — wstawajmy!

— Czas, czas — zaszumiało gdzieś daleko i blisko, a w kilka dni potem park nasz pokrył się jasno-zielonym kobiercem traw. Lecz jeszcze nie pociąga zbytnio do siebie. Jak człowiek, obudzony ze snu, stara się najpierw umyć i oczyścić, a potem dopiero pokazuje się światu, podobnie i park. Budzi się do życia zaniedbany, znać na nim jeszcze ślady zeszłorocznych burz i przejść, lecz wnet, zaczynając swój najpiękniejszy okres życia, oczyści się i odświeży. Przychodzą niewiasty i z pomocą grabi oporzadzają kolejno każdy zakątek ze starych liści, patyków i śmieci, poczem zajeżdża wóz i wszystkie odpadki wywozi. Ale nie na tem jeszcze koniec. Prawie wszystkie ławki stoją uszkodzone; jedna z odłamanem oparciem, inna ze zwicznietą podporą i t. p. Przychodzi więc poważny woźny naszego zakładu, stary Aleksander i jedną po drugiej naprawia.

Teraz dopiero park nasz zaczyna się przedstawiać nieco inaczej. Choć jeszcze pusty, ale czysty. Życie w nim budzi się na coraz większą skalę. Do ogródka przychodzą Siostry, spulchniają ziemię, sieją, sadzą — aż miło spojrzeć. Nad brózdami tkwią rzędem usadzone, pobielone kamienie, a tu i ówdzie już cały zagonek zielony od listków truskawek, szczypioru lub szczawiu.

Teraz kolej na drzewa. Przy pomocy ostrych żelazek oskrobują częściowo ze starej kory ich pnie, a następnie pobielają wapnem. Tak więc praca ludzi w naszym parku jest prawie że ukończona, ale czy to już wszystko? Otóż nie — pracuje w nim jeszcze i to ze wzmoczoną siłą sama przyroda. Ziemia coraz bujniejszą pokrywa się trawą, naokoło jaśnieją kwiatki złoci, a tu i ówdzie wychyli się już fiołek, lub okrągła jak gwiazdka, stokrotka. Pączki drzew grubieją coraz bardziej, aż wreszcie pękają i wytryskują z nich małe, jasne, jeszcze lepkie listeczki i wkrótce te ciemne, nagie konary zostają otulone wspaniałym, zielonym płaszczem. Chmury drobnych muszek i innych owadów bujają w łagodnym powietrzu, kręcą się wkoło, brzęczą, nucą, tak, iż zewsząd słyhać jak gdyby przyciszone dźwięki dalekiej muzyki.

Dochodzą nas też śpiewy lub wrzaskliwe krzyki ptaków. I one odczuwają to piękno, te uroki, a zarazem dobrodziejstwo najwspanialszej pory roku, wiosny. Od czasu do czasu słyhać jakieś niepokojące piski. To nasi główni administratorowie parku, wróble, klóca się o wygodne mieszkania w klatkach lub dziuplach drzew ze swymi przeciwnikami, szpakami:

— Nie leż mi tu, bo cię trzepnę — drze się jeden z nich, wysadzając gruby dziób z klatki.

— Wynoś się stąd, bo się pofatyguję tam do ciebie, a wtedy nie wiem, czy ci to wyjdzie na zdrowie — odpowiada zaperzony szpak.

— Ho, — ho, nie myśl, że się twych gróźb tak łatwo przeleknę, nie! Nie takim ja głupi, jak kowalik, który dał ci się wypędzić. A zresztą, nic ci do tego miejsca! Mieszkam tu już od niepamiętnych czasów, o ile się nie mylę, od początku marca.

— A ja od kilku lat! Gałganiel

Tak z wiosną rodzi się nowe, cudne życie, lecz walka o byt nie ustaje.

Władysław Kalenik, kl. V.

Pobudka

Pozwólcie wspomnieć, jak ranną godziną
zbudzony dzwonek rozprószy znów zjawy,
a w uszy wpadnie głos świeży i żwawy:
„Benedicamus Domino“.

„Benedicamus“ — rzecz łatwo, lecz z łózka
wstać, na to trzeba wiele poświęcenia,
gdy ciepła kołdra, przytulna poduszka
wabią w krainę marzeń, zapomnienia. —

Złazimy jednak z tych wysnionych tronów,
by do codziennych wrócić znów kłopotów —
ćwiczymy ostro pięć tułowia skłonów,
po dziesięć skrętów, piętnaście obrotów —

Potem w zawrotny pęd leci ubranie:
skarpety buty. — Lecz nie koniec na tem!
człek drży na ciele, gdy do mycia stanie,
bo zimna woda chłoszcze niby batem. —

Lecz i to furdał w tem hart ducha leży!
Bęc całą gębą w głąb miednicy nurka —
wylazisz zmyty jak mysz, ale świeży —
od stóp do głowy drga czułość naskórka. —

I jakże potem nie prężyć się w karku? —
człek pierś pnie naprzód, a ręce zaciera
i z groźną miną, z gestem bohatera,
z czapką na bakier przechadza się w parku. —

Zygmunt Wachulak kl. VIII.

Wiosenny ranek

(Impresja)

Włodek zerwał się raniutko. Strumień słonecznej pozłoty przelał się przez framugi okien i zatopił pokój. W powodzi tej płonęły jasne czupryny śpiących jeszcze chłopców. Oddychali równo, spokojnie.

Włodek nalał w miednicę zimnej wody. Zanurzył w niej głowę z rozkoszą. Czuł, jak po ciele przebiega mu fala tężyzny dziwnym, nieokreślonym dreszczem. Krew poczęła pulsować mocno, rytmicznie, budząc w nim zapal, energję.

Ubrał się szybko i zbiegł z pośpiechem nadół. Otworzył drzwi, prowadzące do parku. Oslepiający blask padł mu na oczy. Młode, wiosniarne słońce lunęło poprostu kaskadą rozedrganych promieni. Na jasnym obliczu chłopca zakwitł radosny, pogodny uśmiech, bo śmiało się niebo rozblękitnione, świeże, śmiało się wszystko dokoła.

Park stroił się zielenią, dyszał wonią kwiatów i brzmiał ptaszęcym rozgwarem. Rozłożyste klony prasowały na słońcu przejrzysty szmaragd liści zmarszczonych i pomiętych w pąkach. Pełne majestatu, stare lipy, prężły swe krzywe konary, okryte delikatną szatą wątlej, żółtawej zieleni. Młode, jędrne grabczaki, rosące tuż przy parkanie, wyglądały poprzez mur na szeroki świat krzepkim, butnym wzrokiem. W rogu ogrodu omszały dąb-starowina jeżył ciemno-zieloną czuprynę i drżał cichem weselem na widok lęgnącego się wokół młodego życia.

Rozkwitające bukiety bzów strząsały ze swych płatków srebrzyste perły rosy. Śnieżne pąki jaśminu i czeremchy, potrącane leciuchnym wiatkiem, prosiły żółtawym pyłkiem. Ich upajająca woń, połączona z zapachem kwiatów, traw i świeżej, surowej zieleni drzew, płynęła słodką falą w powietrzu. Włodek wdychał ją pełnią płuc.

Między alejami rozpostarły się kobierce traw, a tuż, obok sadzawki, obrośniętej tatarakiem i odbijającej pogodny szafir niebios, ciągnęła się śnieżna lacha zawilców. Tworzyły one na tle soczystej zieleni jasną, olśniewającą plamę. Nieco dalej, na wzniesieniu, z pośród gąszczu zwartrych, mięsistych łodyg, tryskał kwiat przekwitającej już złości, a z głębi traw wychylał się skromnie fijołek.

Cały park rozbrzmiewał jedną wielką pieśnią. Była to ranna pieśń ptactwa.

Czarne, duże, a mimo to ruchliwe szpaki, śmigały między konarami, pogwizdując zlekka, a zaszyty gdzieś w gęstwinie kos dzwonił długo, przeciągle. Mały, szary kowalik łupał uparcie korę na pniach lip, a gdy znalazł w szparze ukrytą tłustą lizskę, leciał na gałązki grabów, skapanych w słonecznym świetle, siadał tam i, kiwając się uciesznie na wszystkie strony, ćwierkał radośnie: — Hej! wiosna, wiosna! —

Zawodowe próżniaki, wróble, rozsiadły się przy dziuplach, zajętych przez samiczki, niosące jajka i, grzejąc się na słońcu, gwarzyły dla zabicia nudów.

— Ci—ik, ci—ik — przytakiwał sobie najmniejszy chyba pod słońcem, ale i najmilszy zarazem ptaszek, strzyżyk, skacząc z gałęzi na gałąź. A szary król skrzydlatych śpiewaków, słowik, siadł przy niedawno założonym gnieździe i czystym, dzwiecznym głosem rzucał z wezbranej piersi kaskady tonów — swój hymn na cześć wiosny: — Witaj jasna, witaj piękna i szczodra!..

Włodek stał na środku alei i patrzył zdumiony wokoło. Oczy jego zachwycały się blaskiem słońca, szmaragdem liści i krasą kwiatów; piersi wdychały moc i zdrowie; uszy połyły się subtelными głosami natury.

Czuł się dziwnie szczęśliwy. Zdawał sobie sprawę, że dusza jego wstąpiła w głęboką harmonję z odrodzonym życiem przyrody.

Powstała z za mgieł marazmu i zniechęcenia promienna, czysta, jak to wiosniane słońce i szła świecić światu i sobie. Krew w jego żyłach tętniła silnym, zdrowym pulsem, jak świeże soki drzew i kwiatów, a z głębi piersi rwała się dzwieczna pieśń radości i płynąć chciała nad ziemią, jak ptaszęcy śpiew.

Czuł, że promienieje. Błyszczącem okiem patrzył na rozkwitły zielenią park, na niebo pogodne i na miasto, spowite w zasłony mgieł, a usta jego szeptały cicho: Kocham cię, cudna naturo, Kocham... —

Tradycja i lud

Jak daleko w przeszłość sięga byt człowieka na ziemi, nie da się ściśle określić. Nie ulega jednak wątpliwości, że człowiek, zanim dał znać o swoim istnieniu, długie już wieki żył na świecie. Jaki był sposób jego życia, również dokładnie nie wiemy. Pewnym jest natomiast, że jakkolwiek on był, to zawsze przechodził z ojca na syna, a każde następne pokolenie ulepszało go, ażeby więcej i lepiej odpowiadał wrodzonym człowiekowi dążeniom do szczęścia. Wytworzyła się w ten sposób tradycja, będąca niejako nauczycielką życia i główną podstawą duchowego i fizycznego rozwoju ludzkości — słowem postępu. Bez niej ludzkość nie miałaby możliwości wzniesienia się na wyższy stopień kultury, bo każdy człowiek na własną rękę musiałby tworzyć sobie odnowa wszelkie formy życia.

To też owa możność zachowania starych, chociaż już niejednokrotnie przeżytych form i norm życiowych w tradycji, była i jest koniecznością, której się pozbyć nie możemy i nawet nie potrafimy. Ale tradycja, chociaż nie może być zniweczona, to jednak z biegiem czasu traci bardzo wiele ze swoich dawnych wartości, które przechodzą powoli niejako w myty, a uzupełniają się nowymi prawdami — żywymi, zdolnymi świeżo zapłodnić życie.

Tak więc tradycja przez swoje nawarstwienia staje się podwaliną bytu całej ludzkości od początku jej istnienia. Z tego też względu bardzo wielkiego znaczenia nabiera dla nas wynalezienie pisma, zapomocą którego można było ową, dotychczas „ustną“, tradycję utrwalić. To zaś dało początek historii, która jest niczem innym jak tylko tą dawną, lecz obecnie już zapisaną tradycją. Nie należy jednak sądzić, że tradycja ustna utraciła odtąd swój byt — przeciwnie — pozostała nadal, ale wskutek tego, że historia nie może całkowicie objąć jej w swoje ramy, zwłaszcza przy tak wielkim rozroście ludzkości i jej ogromnym rozwoju — jest tą „książką niepisaną“, która będzie ciągle nauczała jak żyć i na której, jakby na uprawionej już glebie, z pokolenia w pokolenie będzie wyrastało nowe drzewo życia.

Ona to, mając za podstawę życie przodków, jest, że się tak wyrażę, lokalną, dla każdego narodu, a nawet dla większej jego części, rodzimą, indywidualną. Nie znaczy to wcale, że tradycja poszczególnych części narodu jest zupełnie odrębną, bo taką nigdy być nie może, jak nie może być taką jakakolwiek część narodu.

Jednakowoż odrębność w tym, czy innym stopniu, zawsze istnieć będzie, pomijając już choćby okoliczność, że wszystkie narody są ze sobą połączone pewnymi związkami pokrewieństwa, wskutek pochodzenia z jednego prastarego pnia genealogicznego, czy innymi, wskutek naturalnego sąsiedztwa.

Wpływ jednak obcy, chociaż w większym, czy mniejszym stopniu dosięga całego społeczeństwa, zależy w wielkiej mierze od poziomu kulturalnego danego narodu.

Naogół bowiem tylko wyższe warstwy społeczne mają ściślejszy i bezpośredni kontakt z zagranicą, natomiast warstwy niższe pozostają zwykle zdala od wszelkiej nowości, a tem bardziej od zagranicy. Warstwy niższe, a więc lud, który jest najbardziej konserwatywny, reprezentują ten odłam społeczeństwa, który ma najwięcej pierwiastków swoistych, rodzimych, a zatem i narodowych. Stąd u ludu właśnie, a nie gdzie indziej, należy szukać tych cech narodowych, które są dla danego narodu najbardziej znamienne, charakterystyczne, a które tylko przy odpowiednim rozwoju mogą dojść do pełnej doskonałości, nadając przytem swoje indywidualne piętno całemu społeczeństwu. „A jak owe spodnie, rozsiadłe warstwy i pokłady gór — powiada jeden z naszych wielkich patriotów, Karol Libelt — we wnętrzościach swoich chowają skarby ziemi, a zwierzchu porastają najpyszniejszą wegetacją, której u owych szczytów niema, tak masy ludów w łonie swoim przechowują skarby narodowego życia, wszystkie pojęcia i losy przyszłości i na nich tylko zakwitać może niwa pomyślności krajowej“.

Poznanie więc ludu, które jest równoznaczne z poznaniem narodu całego wraz z jego wiekowym doświadczeniem, czyli tradycją, która w swej najczystszej formie tkwi w ludzie, i historją, — może jedynie pozwolić na to, żeby cały rozwój duchowy, czy umysłowy narodu i państwa skierować na właściwe tory; a tylko właśnie taki rozwój może doprowadzić do pożądanej doskonałości, dobrobytu i szczęścia wszystkich; w tym bowiem jedynie wypadku zostaną użyte dobrze te siły narodu, które wypływają z właściwego źródła, a mianowicie z istoty danego narodu i z jego zasobów moralnych i umysłowych, a które jedynie mają wszelkie dane po temu, żeby całemu społeczeństwu zapewnić taki byt, jakiego to społeczeństwo, czy też naród wymaga i do jakiego, dzięki wrodzonym zdolnościom, już niejako z natury jest przeznaczony. Stąd dla ludzi, stojących „u góry“ i kierujących życiem społecznym i państwowym nie obojętną powinna być rzeczą znajomość stosunków i życia ludowego. Masy ludowe przecież już nie tylko ze względu na swoją większość, ale i ze względów zasadniczych stanowią naturalne i rzeczywiste podstawy państwa. Co z nich wynijdzie, jest narodowe i powinno stać się koniecznością państwową.

Istotnego zaś celu bytu danego społeczeństwa doszukiwaćby się należało nie gdzie indziej tylko w dążeniach i pragnieniach idealnych ludzi. Wszystkie przejawy i objawy życia ludzkiego korzeniami swemi tkwią zawsze w rozłogach ludowych. Wszystkie kierunki ducha tam mają swe odwieczne i niewyczerpane źródła, chociaż dopiero od niedawna zwróciły tam nurty swego dobroczynnego wpływu. Snać nadchodzą czasy, kiedy kwestje cywilizacji i postępu już nie u szczytów, ale wśród nizin społeczeństwa rozstrzygać się będą, to też wszyscy, bez wyjątku, pod sztandarem dobra powszechnego, z bronią pracy i wytrwałości w rękę, stanąwszy powinni, by dławiającą ludzkość zmorę nędzy i zła odpędzić, by przynajmniej względne poczucie sprawiedliwości, uczciwości i szczerości wśród ludzi zapanowało, by wolność, równość i braterstwo na tym podole płaczu realną i twardą stopą stanąć mogło.

Bolesław Kuźmicz, kl. VIII.

Moja wioska rodzinna

I

Moja wioska rodzinna, Rytele-Święckie, leży w powiecie Sokolowskim, na północnym krańcu województwa Lubelskiego, w odległości jednego kilometra od rzeki Bugu, która w tem miejscu, z powodu niskiego poziomu ziemi, rozlewa się szeroko, a często, co zwykle dzieje się na wiosnę, zalewa i naszą wieś.

Z tego też powodu z tej strony wsi znajdują się wydmy piaszczyste, naniesione wskutek wylewu rzeki, a w niektórych miejscach dosyć znaczne doły, a nawet jeziorka, utworzone także przez wodę.

Nieco równiejszy teren widzimy na zachód od wsi; tutaj bowiem rozciągają się pola uprawne, przy samej zaś wsi przepływa niewielka rzeczka, Kosówka, nad którą stoi młyn wodny. Dalej od południo-zachodu ciągną się pola, które wraz z wyżej wspomnianą rzeczka, skracającą tutaj na południowy-wschód, oddzielają wieś naszą od sąsiadującej z nią wsi, Bojar. Od południowego wschodu rozciągają się pola, oraz pastwiska o poziomie niskim, za niemi zaś idą łąki bagniste, które na początku wiosny i w jesieni w znacznej części zalane są wodą. Tu to w przeważnej mierze, oraz częściowo nad Bugiem, wypasa się bydło, którego znaczną ilość hodują gospodarze naszej wsi. Od wschodu wreszcie graniczy ona z niewielkim laskiem, oddzielającym ją od wsi Ryteli-Wszolków, leżącej od niej o dwa kilometry na wschód.

Co do wyglądu i wogóle jej położenia, to jest ona dość piękna, rozciąga się bowiem na przestrzeni jednego kilometra wzdłuż drogi, prowadzącej ze wschodu na zachód i tylko w środkowej swej części, gdzie droga przebiega obok niewielkiego jeziorka, domy stoją po południowej jej stronie. Rosnące naokoło wsi w znacznej ilości drzewa, nadają jej wygląd wielkiego ogrodu, zwłaszcza na wiosnę, gdy wszystko pokryje się zielonością. Wspomniana wyżej droga, szczególnie w jesieni i na początku wiosny, z powodu niskiego położenia i braku rowów jest błotnista i woda stoi na niej kałużami długi czas. Dlatego też o tej porze przejechać nią jest bardzo trudno.

Oprócz 67 domów, leżących w mniejszej lub większej odległości wzdłuż drogi, do wsi naszej zalicza się także leżący na północ od niej t. zw. Boreczek, osada składająca się z 5 domów, oraz druga taka sama osada, leżąca na zachód, licząca 6 domów, nazywająca się Borek. Ogólna więc liczba domów w naszej wsi wynosi 78, z których zaledwie jeden jest murowany i kryty blachą, reszta zaś jest zbudowana z bali sosnowych, o przeciętnej grubości 15 centymetrów i kryta przeważnie słomą. Zwykła wysokość domu wynosi nie więcej nad 4 metry.

W znacznej części budynki we wsi są niewielkie, gdyż tylko kilka z nich jest podwójnych, o 4-5 izbach, reszta zaś posiada zwykle 2-3 mieszkań, a mianowicie: t. zw. alkierz, kuchnię i „dużą izbę“, czyli pokój. Zewnątrz ściany tych domów są przeważnie powleczone wapnem, lub ciemno-czerwoną farbą, przyczem niektóre z nich, ażeby lepiej trzymały ciepło, obito deskami, czyli t. zw. kozuchówką.

Biedniejsi mieszkańcy, których nie stać na oszalowanie swych domów, zabezpieczają się od zimna, zalepiając szpary między balami gliną.

Przy każdym prawie domu znajdują się niewielkie ogródki na kwiaty, a także sady, w których widać grusze, jabłonie, śliwki różnych gatunków, jak kostury, lubaski, langrody i białe śliwy, wreszcie wiśnie i czereśnie, z krzewów zaś porzeczki, wieprzki*, agrest i maliny. Oprócz tych drzew owocowych, sady się opodal domów dla upiększenia ich drzewa i krzewy nieowocowe, jak: świerki, białe i czerwone bzy, róże, które kwitnąc w maju upajają swą wonią.

Z drzew i krzewów nieowocowych w okolicy naszej wsi rośnie znaczna ich ilość, a mianowicie, na północ nad brzegami Buğu mamy nieraz na znacznej przestrzeni wikliny, z których różę wyrabiają tu koszalki, lub kosze; na północo-wschód, gdzie znajdują się niziny, a także i mokradła, rośnie olszyna, a w niej drobniejsze krzewy leśne, jak dzikie porzeczki, wieprzki, maliny, oraz wilczyny. W niewielkim lasku, znajdującym się na wschód od wsi, przeważają sosny, podszycie zaś stanowią wrzozy i jałowce.

Rozlewające się od południa mokradła zarastają w niektórych miejscach także olszynami i wspomnianymi wyżej krzewami, przyczem na wyniosłościach, czyli t. zw. „grądach“, pną się: leszczyna, jarzębina, dębina, seklaki, brzozy, a wszystko to, wraz z nigdy niekoszoną tu trawą, tworzy tak zbite gąszcza, iż często trudno się przez nie przebić. Grądy te, dość duże, których jest tu kilka, według opowiadania starszych ludzi, miały kiedyś służyć powstańcom za schronienie, co jednak nie jest pewnem.

Co do zwierząt i ptaków dzikich, to w okolicy naszej wsi jest ich znaczna ilość. Mają one tu dogodne warunki bytu wśród błot. Tak więc są tu czajki, czaple, kaczki, kurki wodne, bekasy, derkacze, z innych zaś kuropatwy, siwe gołębie, a nad Bugiem bardzo wiele rybitew, kulików, niekiedy zaś, zwłaszcza na wiosnę, spotkać można też i nury. Ze zwierząt natomiast spotyka się tu często zające, rzadziej lisy i wiewiórki, a wyjątkowo już, przygodnie, sarny.

Wieś nasza posiada około 500 mieszkańców, wśród których jest 15 żydów, reszta zaś to Polacy religji rzymsko-katolickiej, przeważnie zajmujący się rolnictwem. Kościół parafjalny naszej wsi leży o 7 kilometrów od niej na zachód. Ponieważ zaś droga do niego prowadzi w niewielkiej odległości od Buğu, dlatego to, zwłaszcza na wiosnę, gdy rzeka ta wyleje, dostęp do niego jest niemożliwy. Z tego powodu ludność, mając bliżej położony kościół o 3 kilometry w niewielkim miasteczku, Małkini, częściej w nim bywa, niż w swojej parafji, Prostyni. W odległości 10 kilometrów, na północ od naszej wsi, leży miasteczko Kosów-Lacki, gdzie także jest kościół. Tu jednak mieszkańcy naszej wsi bywają tylko w czasie targów, odbywających się co wtorek i piątek, w kościele zaś wówczas, gdy zbyt duża woda na Buğu utrudnia dostęp do wyżej wspomnianych. Innych większych miast w bliskości naszej wsi niema, lecz z powodu licznych linii kolejowych, przechodzących opodal, bardzo łatwo jest dostać się do Warszawy, Sokołowa, Ostrowi-Mazowieckiej i t. d. Małkini bowiem jest ważnym węzłem kolejowym: schodzą się tu linje, jak: z Warszawy do Białegostoku, z Siedlec do Ostrołki i Ostrowi-Mazowieckiej.

Ogólny poziom oświaty w naszej wsi nie jest zbyt wysoki, a to z powodu braku szkoły i niewielkiej zamożności mieszkańców. Istnieje tylko pięciooddziałowa szkoła powszechna, do której przychodzą także

* porzeczki czarne.

i dzieci z sąsiedniej wsi, Bojar, gdzie szkoły niema zupełnie. Dwa sklepy spożywcze są w rękach żydowskich, a także kuźnia należy do żyda. Z tego widzimy, że we wsi naszej przeważnie żydzi zajmują się handlem, czemu jednak trudno zaradzić, gdyż ludność chętnie bierze u żyda, gdzie dostaje towar taniej i „na bóróg“. Wprawdzie w roku 1921 założono tu spółdzielnię, która początkowo rozwijała się dosyć dobrze, lecz później, na skutek kłótni między udziałowcami, upadła. Zakładali tu także Polacy sklepy, jednak te upadły, nie mogąc wytrzymać konkurencji z żydowskimi, które mają tańszy, lecz lichy towar. Stosunki te wszakże w ostatnich czasach się zmieniają i zdaje się, że ludność wreszcie zrozumie swój interes. Oprócz tego we wsi naszej istnieje mleczarnia, produkująca masło, dwaj zaś handlarze świń wyrabiają wszelkiego rodzaju wędliny.

Pod względem gospodarczym wieś nasza także nie stoi wysoko, gdyż nie używają tu gospodarze prawie zupełnie nawozów sztucznych, mimo iż rola nie jest zbyt urodzajna. Z rodzajów gleb mamy tu: piaszczystą, czarnoziem i gliniastą, która, obok czarnoziemiu, nadaje się najlepiej pod uprawę. Większość jednakże gruntów jest piaszczysta, a tylko pola, leżące nad Bugiem, należą do pierwszej klasy i na nich to udaje się pszenica. Często jednak wylewający Bug niszczy zasiewy, narażając rolników na poważne straty. Wylewy te nieraz dosięgają wsi i zabudowań niżej położonych, a gospodarze do swych obór z izby muszą dojeżdżać łódkami. Powódź wyrządza też i inne szkody: obrywa łąd, psuje pola, a niekiedy na znacznej przestrzeni łamie krą wszystkie drzewa nadbrzeżne. Od zbytniego psucia łądu, z jednej strony przez silny napór wody chroni się brzegi rzeki w ten sposób, iż w miejscu, gdzie woda najbardziej rwie, buduje się t. zw. „główki“, albo tamy. Są to dosyć długie, z wiązek chrustu i kamieni wały, które, wysunięte daleko na wodę, zajmują niekiedy $\frac{2}{3}$ koryta rzeki i w ten sposób zwracają prąd wody pod drugi jej brzeg. Z powodu jednak zaniedbania ich, chronią one niewiele. Z tego widzimy, że byłoby konieczne uregulowanie rzeki, gdyż i żegluga na niej jest utrudniona wskutek mielizn, a niekiedy na jej środku powstają dosyć znaczne kępy, na których pasie się bydło.

Oprócz pszenicy, sieją rolnicy wsi naszej żyto, przeważnie na południu i wschodzie, gdzie ziemia jest piaszczysta i do tego nadająca się, a z jarzyn: jęczmień, owies, groch, peluchę, wykę, grykę, seradelię i wreszcie z warzyw: buraki, marchew, rzepe, kapustę, brukiew, sałatę, pasternak, mak i tp. Najwięcej jednak sieje się tu żyta, do czego nadaje się najbardziej gleba, następnie znaczną ilość seradeli, częściowo łubin. Zboża te stanowią główny przedmiot handlu naszych rolników. Sprzedają je zwykle na targach w pobliskim miasteczku, Kosowie-Lackim.

Co do przemysłu, to gospodynie wyrabiają tu płótna różnego rodzaju ze lnu, lub konopi, a także materje wełniane i sukna. Oprócz tego dziewczęta wyszywają i haftują różne makatki, obrusy i td. Z tych także część, a przeważnie płótna lniane i zgrzebne, sprzedaje się we wspomnianem wyżej mieście. We wsi naszej mieszka ślusarz, szewc-żyd i cieśla, i oni to przeważnie zaspakajają potrzeby gospodarskie rolników. Niektórzy mieszkańcy, nie posiadając gruntu, lub też, mając go niewiele, utrzymują się zupełnie lub częściowo z zarobku, którego dostarcza im tartak, leżący naprzeciw naszej wsi po przeciwnym, czyli po prawym brzegu Bugu, huta szklanna, widniejąca nieco dalej od tartaku na zachód, a niedaleko

miasteczka Małkini, oraz baraki, znajdujące się w pobliżu wyżej wspomnianego miasteczka, a służące za lotniska dla dzieci z Warszawy.

Z nabiału wieś nasza produkuje masło, sery, znaczną ilość jaj kurzych, kaczych i t. p., gdyż hodują tu wiele drobiu. Nabiał ten sprzedają gospodynie w pobliskim miasteczku, Małkini, letnikom, lub też kolonji dziecięcej wyżej wspomnianej. Sprzedaje się go także w miasteczku Kosowie, lecz rzadziej i tylko w zimie, gdyż latem lepiej płacą letnicy i ci przeważną część odbierają.

Wracając do roli, warto zaznaczyć, iż nawodnienie jej, szczególnie od południa, jest dosyć znaczne i znajdują się tu większe obszary bagniste, które po osuszeniu mogłyby stanowić dosyć dobre łąki, a nawet pola. Prace jednak nad niemi są zaniedbane i dopiero w ostatnich czasach, po scaleniu gruntów, są czynione pewne przygotowania w tym celu. Co do scalenia, to nastąpiło ono w 1929 r., gdyż pola, będące w szachownicy, utrudniały rolnikom gospodarkę. Mieli oni bowiem niekiedy 400-500 metrów długości i 4 metry szerokie żagony, a porozrzucane w różnych stronach na dość znacznym obszarze, wynoszącym 7 kilometrów długości i 4-5 szerokości, rozciągającym się nad Bugiem. Dzisiaj przeciętny gospodarz ma 15-20 morgów; jest jednak wielu i takich, którzy mają mniej niż 15, lub nic i albo chodzą na zarobek do miasta, albo pomagają bogatszym w pracy. Mowa mieszkańców naszej wsi charakteryzuje się tem, iż nie wymawiają oni dobrze sz, dz, cz, i często źle używają przypadków.

Próbka gwary ludowej:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Panie Boze dopomóż! — rzekł stary Maciej Brózda, przechodząc drogą obok pracującego przy żniwach Grzędy.

— Na wieki wieków; Panie Boze zapłać! — odpowiedział tenże, a potem zapytał:

— A gdzie to idzieta Macieju?

— No, aniby gdzie mam iść? za bagno idę do żniw, bo to już i czas, ludziska tak się rzucili do koszy, że do niedzieli to i wszystko wychłastają, bo już i w kopach jest dużo.

— Spójrzcie też Janie za sadzawkę, ile tam już kop stoi, co?

— A no tak, każdy się uwija, bo pogoda niezła i ja też, jak Bóg da, do niedzieli wykosę.

— A dużo już wykosił? — spytał Brózda?

— Toć tam trochę się zrobiło - plosę w Rombieżach, półtorak pod Bojarami i żagon nad Bugiem, ale co to za robota! lataj z jednego kawałka na drugi, bo żeby to wszystko było w jednym miejscu, to tak, a tak to tylko bałamuta.

— Co tam gadas! albo i tak małośta wykosił?

— E, mało, nie mało, ale żeby to choć zboże było ładne, to chciałoby się człowiekoju i robić, a tak...

— Ej, Janie, Janie — przerwał mu Brózda, co to wy macie takie kiepskie żyto, cy co? Ja ci mówię, lepiej nie gadaj, bo przecie zboże masz „jak las“.

— Padam, bo mogłoby być większe.

— Albo to na takim piachu nie jest i tak duże? No, ale ostanicie z Bogiem, bo czas leci.

Tyburcy-Rytel Marjan kl. V.

II

Trzebieszów, moja rodzinna wioska, leży na Podlasiu w pow. łukowskim i jest starą osadą. Już w r. 1430 istnieje tu parafia.

Fundatorem kościoła był podobno Władysław Jagiełło. Ludność parafji stanowi przeważnie drobna szlachta, mieszkająca we wsiach: Szaniawy, Płudy, Wierzejki, Kurów, Karwów, z których wyszli licznie rozrodzeni Szaniawscy, Karwowscy, Kurowscy, Wierzejscy, Krasuscy. Na miejscu starego kościoła z r. 1724, spalonego przez piorun w r. 1855, wznosił z własnych funduszy i ze składek ks. Radzikowski w r. 1863 nowy, murowany, pod wezw. św. Rycerzy. Jako położony na trakcie z Wilna do Krakowa, Trzebieszów, był stacją podrózną i noclegową niekiedy dla panujących w ich częstych podróżach, zwłaszcza od połowy XV do połowy XVI wieku. Była to wieś królewska, która w r. 1552 miała 44 osad i młyn o 4 kołach; siedzieli tu obelnicy, młynarze. W r. 1836 z dawnej królewskiej wydzielono majorat dla generała-majora Ottona von Burmeister.

Trzebieszów frontem zwrócony jest ku południowi i ciągnie się też nad szosą, wiodącą do miasta Łukowa. Od północy graniczy z płynącą doń równolegle niewielką rzeczką, od wschodu z posiadłościami wsi Dębówierzchy i Leszczanka, od południa z wsią Szaniawy, oraz lasem rządowym we wsi Brzozowica, od zachodu zaś ze wsią Karwów. Co się tyczy ukształtowania powierzchni gruntu trzebieszowskiego, to nie wszędzie jest ono jednolite. Od południowej strony wsi pole jest prawie całkiem równe, o glebie dosyć urodzajnej, gdzie nigdzie tylko można zauważyć miejsca nieco wyższe i glebę bardziej piaszczystą. Od północy natomiast grunta są znacznie niższe i coraz bardziej odchylają się ku rzece. Wieś ta jednak nie stanowi całości; podzielona jest na cztery t. zw. oddziały. Pierwszy i drugi są złączone, trzeci natomiast i czwarty położone są osobno, nieco dalej. Trzeci oddział leży przy tej samej drodze, w odległości około pół kilometra od ostatnich domów oddziału drugiego. Przestrzeń ta należała niegdyś do gruntów dworskich, zczasem jednak, drogą parcelacji, dostała się w ręce kilku gospodarzy, którzy się na niej pobudowali. Oddział czwarty położony jest po przeciwnej stronie rzeczki, naprzeciw oddziału trzeciego.

Na szczególną uwagę zasługuje oddział pierwszy i drugi. Domy pierwszego, których liczba wynosi 43, stoją rzędem po północnej stronie szosy. Liczba domów oddziału drugiego wynosi 79. Z tych mniejsza część stoi po północnej stronie szosy, reszta zaś po stronie południowej. Obok kościoła, mniej więcej w pośrodku tegoż oddziału, domy są tak liczne, tak skupione, że cisną się po obydwu stronach drogi.

Oddział trzeci posiada 58 domów, ustawionych od północnej strony drogi. Grunta tej części wsi od strony południowej są w większej mierze, niż oddziału pierwszego i drugiego, piaszczyste, od północy zaś, w miarę zbliżania się ku rzece, coraz bardziej niskie.

Ukształtowanie powierzchni oddziału czwartego jest bardziej urozmaicone. Położony jest około 3—5 staj od rzeczki. Między drogą a rzeczką mała zaledwie część przeznaczona jest pod uprawę, reszta zaś są to łąki. Od strony północnej początkowo spotykamy się z polem równym, uprawnym, potem znów z łąkami. Od strony północno-wschodniej grunta położone są wyżej.

Co się tyczy flory w posiadłości trzebieszowskiej, to cała wieś w mierze dostatecznej jest w nią zaopatrzona. Z drzew iglastych większe grupy tworzy sosna. Ona to w przeważnej części stanowi las gospodarski i rządowy od południowej strony wsi. Świerków jest tam niewiele, jedynie na cmentarzu rośnie większa ich grupa, w lesie natomiast nie spotyka się ich wcale. Z drzew liściastych na pierwszym miejscu należy postawić olchę. Większe jej skupienia widzimy w pierwszym i drugim oddziale od strony północnej, w miejscach niższych w pobliżu, albo też nad samą rzeczką. W trzecim oddziale występuje ona w bardzo znikomej części, natomiast w czwartym spotykamy ją w większej ilości koło rzeczki, oraz z północnej strony wsi. Na drugim miejscu z drzew liściastych należy postawić brzozę. Ta w niewielkiej ilości występuje od południowej strony wsi na pastwiskach oddziału pierwszego. Drugą, o wiele większą kępę, tworzy od strony północnej drugiego oddziału. W większej ilości występuje ona w lesie, szczególnie rządowym.

Inne gatunki drzew, jak np.: dąb, grab, wierzba, topola, osika dają się widzieć w różnych częściach wsi, lecz w niewielkiej ilości. Z krzewów w lesie niemal na każdym kroku spotkać można leszczynę, jałowce, na łąkach zaś wiklinę.

Cała wieś jest stosunkowo bogata w drzewa owocowe, szczególnie zaś oddział pierwszy. Każdy gospodarz, zależnie od wielkości majątku, posiada obok zabudowań sad owocowy. Sad zwykle ma kształt prostokąta. Wśród drzew pierwsze miejsce zajmują jabłonie i grusze, dalej śliwy, wiśnie, czereśnie i orzechy włoskie. Te ostatnie, wskutek zbyt tegich mrozów, jakie nawiedziły te strony w r. 1929, znacznie się przerzedziły. Jeżeli gospodarz jest bogatszy, to i sad ma większy. Zauważyć w nim można pewien porządek, drzewa stoją rzędami w szachownicę, przestrzeń zaś między nimi zajęta jest pod uprawę ziemniaków lub zasiana białą koniczyną. Warzyw tam prawie że niema, zazwyczaj bowiem sadzą je w polu, w miejscach niższych. Ogród naokoło otaczają wiśnie, których najwięcej posiada pierwszy oddział wsi. One też, rosnąc po drugiej stronie drogi, tworzą bardzo piękną, szczególnie w wiosennej porze, aleję. Przed każdym zaś domem istnieje mały ogródek, przeznaczony na kwiaty, albo też na rozsadę. Las trzebieszowski jest niewielki, a dzieli się na rządowy i gospodarski. Rządowy wynosi jakie 2 km², gospodarski zaś około 1 km². Fauna, którą tam spotykamy, jest stosunkowo uboga. Do większych zwierząt należy sarna, zjawiająca się tylko przelotnie. Dalej idą lisy, kuny, zające, wiewiórki. Parę lat temu dawały się widzieć kozy, a nawet i dziki. Z ptaków zaś dzikie gołębie, turkawki, słomki, wilgi, dzięcioły i wiele drobniejszych.

Ze zwierząt domowych hodują tu, prócz konia, krowy, nierogaciznę, owce. Z plectwa kury, gęsi, kaczki, indyki i gołębie.

Cały Trzebieszów posiada 1550 mieszkańców, z czego na katolików przypada 1500, zaś na żydów 50. Innowierców, ani też obcych kolonij, niema wcale. Powiatowem i najbliższem miastem jest Łuków, położony na zachód od Trzebieszowa. Drugim z kolei jest Międzyrzec na wschód od wsi. Pośrodku drugiego oddziału stoi murowany kościół, otoczony kamiennym murem, zbudowany w r. 1863. O jakie sto kroków na wschód od niego widzimy dość obszerny, drewniany, pokryty eternitem, budynek, w którym mieści się urząd gminny. Tuż obok niego poczta, oraz Kasa Oszczędności Stefczyka. Na końcu drugiego oddziału stoi 7-mio kl. szkoła

powszechna. Jest to murowany budynek jednopiętrowy. Przed 10-ciu lub 11-tu laty był to dworek pewnego bogatego barona, który prawdopodobnie przebywał w Rosji. Majątkiem jego zarządzał dzierżawca. W ostatnich latach majątek ten został przez rząd rozparcelowany, dworek zaś przeznaczony na szkołę. Obecnie jest to budynek dosyć już stary, a górna jego część w większości stoi niezajęta, z obawy, by się nie zawaliła. W pobliżu istnieje drugi, lecz drewniany budynek szkolny.

Po prawej stronie kościoła, w odległości mniej więcej 150 m., stoi budynek Ochotniczej Straży Pożarnej. Jest to t. zw. szopa. Zbudowana z drzewa, dość obszerna, podobnie jak i kościół posiada wieżę, chociaż znacznie niższą i bez krzyża. Mieści w sobie sikawki, beczki, bosaki i inne przyrządy strażackie, a prócz tego, w cieplejszych porach roku służy straży jako sala zebrania, zabaw i przedstawień.

Obok szkoły murowanej stoi podłużny, murowany, pozostały jeszcze z budynków dworskich, śpichlerz. Obecnie, dzięki pracy miejscowego kierownika, A. Podgórskiego i całego nauczycielstwa, odnowiono go wewnątrz, wprawiono okna i służy do urządzania przedstawień i zabaw szkolnych, czy też strzeleckich. Ochotnicza Straż Pożarna w Trzebieszowie liczy 35 członków; do użytku posiada 2 beczki na wodę, 3 sikawki i 3 bosaki. Obecnie powzięto projekt sprowadzenia sikawki motorowej, któraby kosztowała 1600 zł. Gmina zgodziła się dać na to 1000 zł., resztę zaś skarb Straży. Prócz tego istnieje związek strzelecki, którego liczba członków wynosi 20, oraz związek Patronatek z 30 członkiń. Istnieje jeszcze związek harcerski, założony w r. 1930.

Sklepów, bez względu na rodzaj sprzedawanych w nich towarów, posiada Trzebieszów 9: jeden monopol napojów alkoholowych, dwie wędliniarnie a zarazem i piwiarnie, jedna piekarnia i trzy sklepy, z tego jedna spółdzielnia, oraz dwa z towarami zarówno spożywcze jak i łokciowe, pozostające w rękach żydowskich. Obecnie założono też mleczarnię.

Ludność, chociaż to jest wieś, stoi na odpowiednim stopniu kultury. Dlatego też, jeżeli pozwalają na to warunki finansowe, mieszkańcy starają się dać dzieciom swoim, oprócz 7-o oddz. szkoły powszechnej, wyższy stopień nauki, posyłając je gdzieś do miasta, szczególnie do szkół średnich. Obecnie liczba kształcących się w szkołach nie przekracza 10 osób. Jeszcze ubiegłego roku liczba ta była nieco wyższa, ale teraz, wskutek kryzysu, jaki szczególnie daje się odczuwać na wsi, ilość kształcących się spadła. Prócz wymienionych kształci się jeszcze kilku starszych, lecz ci zajmują już pewne stanowiska, kilku zaś, którzy ukończyli szkołę rzemieślniczą, przebywa w domu bez stałego zajęcia.

Cały Trzebieszów składa się przeważnie z rolników; liczba bezrolnych jest niewielka. Gospodarze po większej części uprawiają zboże, które jest głównym produktem w handlu. Jeżeli mają go nadto, lub zajdzie tego potrzeba, odsprzedają je miejscowym żydom, albo też wprost wywożą do pobliskiego miasta, Łukowa, lub Międzyrzeca. Żydzi, gromadząc w swych rękach dość duże jego zapasy, z wielką niejednokrotnie korzyścią wywożą je do miasta. Do ożywienia ruchu handlowego, chociaż na niewielką skalę, przyczynia się chów drobiu. Prócz kur, chowają tu indyki, gęsi i kaczki. Te ostatnie starają się dobrze upaść, a następnie w jesieni lub zimie niezgorzej sprzedać. Przez lato gęsi i kaczki dostar-

czają piór i jaj. Pióra pozostawia się zazwyczaj dla siebie, jaja zaś sprzedaje w mieście lub miejscowym żydom. Podczas zimy kobiety przędą len lub wełnę, a następnie w warsztatach tkają najczęściej białe płótno. Z tego sporządzają bieliznę, prześcieradła, albo też, co rzadziej się strafia, sprzedają je. Mężczyźni zaś doglądają inwentarza, lub młócą w stodołach. Niektórzy gospodarze przy pomocy maszyn jeszcze na jesieni młócą swe zboże. Maszyn do młócki jest w Trzebieszowie cztery. Sieczkę dla bydła rzną rękami w sieczkarniach, albo też zapomocą kieratu. Ten ostatni sposób rżnięcia, o wiele wygodniejszy, rozpowszechnia się coraz bardziej. Zboże sieją rękoma, a ścinają kosą. Tylko dwóch gospodarzy posiada własne siewniki, jeden zaś żniwiarkę. Przeciętny gospodarz posiada obecnie 10 morgów, najbogatszy zaś 35.

Z każdym prawie rokiem rośnie liczba domów w Trzebieszowie, wzrasta też ilość mieszkańców, a zarazem postęp kulturalny ludności. Kilka lat temu była to zwykła wioska, tem tylko różniąc się od innych sąsiednich, że miała kościół i dwa, czy trzy sklepy. Teraz zmieniła się do niepoznania. Przez całą wieś aż do Łukowa prowadzi szosa, urząd zaś gminny, oraz poczta posiadają telefoniczne połączenie z Łukowem. Od poczty druty telefoniczne przechodzą na plebanję miejscowego ks. proboszcza, oraz do Posterunku Policji Państwowej. W niedługim czasie ma być zbudowana szosa do pobliskiej stacji kolejowej w Szaniawach; nasyp już zrobiono. Jeżeli w dalszym ciągu wieś nasza będzie się rozwijała tak, jak dotąd, niewątpliwie za kilkanaście lat może się stać miasteczkiem.

Mimo to z dawniejszych czasów zachowało się tu wiele starych zwyczajów i obyczajów. Z tych bardziej charakterystyczne postaram się wymienić. Tak np. na zakończenie starego roku, wieczorem, chłopcy a nawet i młodzieńcy wnoszą gospodarzom pocichu bramki lub bramy z zagrody gdzieś daleko w pole, osadzają je na wierchołkach drzew przydrożnych, lub, zamieniając, wstawiają je innym. Jedni drugim starają się coś nieznacznie unieść, by poszkodowany później to odkupił.

W połowie postu, w t. zw. „Śródpoście”, wieczorem, uderzają kamieniami w ściany domów tak, że aż szyby brzęczą. Jest to t. zw. „przybijanie” postu. Inni znowu rozrabiają popiół z wodą, niekiedy z domieszką smoły i mażą tem szyby okien, tam zwłaszcza, gdzie są panny. Mieszanina taka niejednokrotnie nie da się zmyć podczas mrozu, widnieje więc do samej wiosny.

W wigilję „Wielkiego Postu”, w t. zw. „Kusaki”, młodzież płci obojga przebiera się i udaje podróżnych, albo też różne postacie, jak np: bociana, diabła, żyda i t. d.

W drugi dzień świąt Wielkanocnych, jak też i w tydzień później, w niedzielę przewodnią, pozostał jeszcze zwyczaj wzajemnego oblewania się. Są to t. zw. „Przewody”. Zajmuje się tem przeważnie młodzież płci obojga. Jedni drugich starają się jak najraniej, jeszcze w łóżku, oblać. Do tego posługują się najczęściej zwykłą wodą, rzadziej wodą kolońską.

Trzebieszów szczególnej gwary nie posiada. Mowa jego mieszkańców jest po większej części czysta. Część jednak, szczególnie osoby starsze, nie wymawiają czysto niektórych spółgłosek. Tak np: zamiast sz mówią s, zamiast cz-c, zamiast ż, rz-z.

O powstaniu Trzebieszowa krąży wśród ludności następująca legenda: Przed wielu bardzo laty na miejscu tem stały nieprzebyte lasy. Przez lasy prowadziła niewielka droga, a raczej ścieżyna, która później stała się słynnym traktem z Wilna do Krakowa. Tą drogą przejeżdżał pewnego razu król polski, Wł. Jagiełło i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał trzech, siedzących na drzewach, biesów. Na tem też miejscu powstała niewielka osada, którą nazwano od owych trzech biesów Trzebieszów.

Kalenik Władysław kl. V.

Za pasionką

[Opowiadanie]

— Patrzaj Marku! — wołała Zdońska na męża — już słońce wysoko, a ty coś śperlas i dłubies, nie wiadomo co. Ludzie, ol... jak idą całym gościńcem.

— Zara, zara — matka — muszę Bartka do bydła wysłać, ćwiartkę zyta przysykować i owsu pół korca, bo za co kupię okrasy, za co kupię sobie capcyne?

— Chustkę mi kup — powiadam ci!

— E, bo ta, co ją nosis, to juz zła? Juz ci się nowej zachciewa?

— Tak, zachciewa — widzisz, że podarta!? Pić ci się chce, to mi załujes złotówki. Na wódkę, papierosiska — mas, a dla mnie nie — o — mądral, widzisz gol...

— Juz się uspokój, bo nic nie rozumiesz i tyła.

— Bartek — zwrócił się do syna — bierz kapotę i do krów — a prędko, ty zaś, Wacek, zaprzęgnij konia i jedź z matką na jarmark; ja pudę piechotę. Nie zapomnij tylko zyta i owsu ze śpichlorka zabrać — ono juz w workach gotowe. I włożywszy nowy surdut, wyszedł na dwór. Spojrzał badawczo po niebie, coś mruknął i ruszył prosto do Sokółki.

Niebawem jednak ktoś z tyłu nań zawołał:

— A dziędobry, Marku!

Gospodarz się obejrzał, uśmiechnął pod wąsem i odpowiedział:

— Dziędobry, dziędobry, kumie! Co tak Janie sam idzieta na jarmark?

— Nie sam, ino z pełnym trzosem — odparł zagadnięty — chcę sobie koniska kupić.

— O, — to wypijem litkup, kumie, co?

— No — zebyście tylko dobrze faktorowali, Marku.

— Juści, że tak. Zobaczycie, że za psie piniądze konia kupicie jak smoka. Ja wam to mówię!

— Ba — zeby się ino wase słowa sprawdziły!

— A skądżeśta, Janie, tyła pieniędzy nabrali?

— Skąd? — krowem sprzedał wcoraj w Cyzewie.

— Tak? — No, a ileście dostali?

— E — co ta teraz bydło! — tanie. Ale zgadujcie?

— To ta graniata?

— Juści — —

— U... ona droga będzie, bo to tęgachna krowa. Ze... ze... a dyc tam kto tak jedzie — chiba nas probosc, hę?

— A tak, to on — potwierdził Jan — wpatrując się w nadjeżdżającego.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił ich ksiądz z bryczki i kazał zwolnić biegu.

— Na wieki wieków, amen — odpowiedzieli zgodnie gospodarze, zdejmując czapki.

— Cóż to, parafjanie sami tylko bez niczego na jarmark idziecie?

— Tak, prosim księdza probosca; moze nazad bedziem śli nie sami, ino z jakim koniskiem. A dokądze to ksiądz dobrodziej? — moze tez cośby sobie kupił na jarmarku? — pytał Jan.

— O — daleko jadę, do Iglicowa na odpust — ostaniecie sami, z wikarym tylko.

— A to niech księdza Bóg prowadzi — rzekł Marek.

— Bóg zapłać — mili — i parobek zaciął konie batem, tylko się kurz za kołami zakotłował.

Chłopi teraz dopiero włożyli czapki na głowy i przyśpieszyli kroku. Szli pewien czas w milczeniu, aż wkońcu Marek zaczął:

— A to dobra dusa, ten nas probosc. Kazdego pozdrowi, do kazdego się odezwie, kazdemu poradzi.

— Juści, juści, ze tak. Jabym ta tez swego Jurka za księdza ucuł — przerwał Jan — ale on tylko do łobuzerki zuch. Do kościoła ani rus. Ino do bydła, az mecy. Więc ja mu tak: Kiedy, Jurek, nie chces iść ani do kościoła, ani do skoły, to ci ubrania nie kupię, a do bydła wysłę i paś! A on: „To co, będę paś!“. I co ja z nim poradzę?

— Juści, Janie. Mój Bartek to samo. Za młodszych lat taki pochwył do książki miał, wciąż czytał, gryzmolił, a teraz ino z chłopokami po drodze goni, zbytkuje, a jak pójdzie paść, to sobie gamratów nazwołuje i tam skaca, jak barany. Więc ja do niego: Kiejś taki, to paś — i pasie. Dzisiaj tez juz pognął niedawno krowy na smug koło drogi; ot, tam jesce go widać.

— Tak, tak — ja nie wiem, cemu oni za pasionką taką chęć mają? — dodał Jan.

— Dziędobry, sąsiady — krzyknął Wincenty, mijając naszych gospodarzy wozem. — O cem tez tak rozprawiacie?

— Dziędobry, dziędobry, o cem? — a no — o swoich chłopokach.

— E, tam, dziś jarmark, nie mocie to o cem innem gadać? No, ale ja śpieszę.

I pognął konie, zostawiając chłopów w tyle. Tymczasem gospodarze minęli olszynkę, a stąd do Sokółki było już niedaleko. Wieże kościółka prawie całe widać było, oraz części czerwonego dachu, który wyglądał niby muchomor we mchu rosnący. Nieco na prawo od domu Bożego rozciągał się rynek, gdzie dostrzec było można jedynie drgającą masę koni, bydła i wozów.

Dookoła zaś falowały ślicznie, miarowo, niby fale morskie, masy zbóż, mieniących się pod złotymi promieniami słońca, które pnać się coraz wyżej po szafirowem tle nieba, zsyłało ciepłe tchnienia na całą przyrodę. Miedzami, ścieżkami i drożynami ciągnęły do Sokółki sznury ludzi w różnego koloru ubiorach. Z rynku dochodziły zgłębkiwie pokrzykiwania kupców, ryk bydła i rżenie koni. Wszędzie panował ruch i gwar.

— U — pewnikiem duży będzie jarmark — przerwał Jan. Może się i tanio konia kupi.

— Kupicie, kupicie napewno — dorzucił Marek. — Jurek wasz znów będzie miał na czem galopować.

— Ech — już nie wspominajcie mi tego hycła — —

— Toż i mój Bartek tak się jakościk popsował. Kto wie, czy nie ta pasionka mu zaszkoziła.

— Może i być — bąkał Jan. — Pasie ich z ośmioro, to co chcą to robią. Zbytkują i często skody ludziom wyrządzą, aż strach. Bo zagapiają się, a bydło wlezie to w zyto, to w psenice, zeżre i tyła. I co będzie robił? — biul?

— Juści, prawdę powiadacie, Janie. Ja już chyba Bartka przemocą odciągnę od pasionki; może jeszcze z niego co będzie, bo mówię wam zdolny był, a teraz tak zgłębniał.

Weszli na szosę. Turkot wozów i rozgwar miejski zagłuszył ich rozmowę. Poczęli się więc rozglądać na wszystkie strony. Marek patrzył, czy nie zobaczy gdzie Wicka z matką, ale jakoś nie nadciągnęli. Wreszcie spostrzegł, iż zdala pędzi samochód. Zwrócił się więc do Jana:

— Ale ta bestja pędzi, ino kurz za nim na drodze!

— Kto?

— A no, samochód. Już w mieście, a jeszcze biegu nie zwalnia.

— Ustąpimy z drogi, bo jeszcze nas najedzie.

W tej chwili samochód minął ich z rykiem i popędził naprzód.

Chłopi ledwie zdążyli dostrzec, iż szyby w przedziale szofera są powybijane.

— Oho — cosik mu się pewnikiem stało — zauważył Jan.

— Najprędzej gdzieś się przewrócił i ludzie się potłukli — wniosko-
wał Marek.

— Może i być. Patrzcie, stanął przed domem dochtora.

Przyspieszyli kroku. A, że było niedaleko, więc wkrótce znaleźli się przy samochodzie. Przez tłum jednak, który zdążył go już otoczyć, nie mogli nic dobrze dojrzeć i usłyszeć, jedynie spostrzegli na schodach, wiodących do poczekalni lekarza, pokrwawionego człowieka, który wkrótce wprowadzony we drzwi przez dwu mężczyzn zniknął im z oczu.

— Co mu się stało? — spytał Marek jakiegoś gospodarza.

— Bo ja wiem? — mruknął zagadnięty. O, kupca Szymona się za-
pytajcie, on pewno wie, bo był przy samym samochodzie.

— Wiem, jakiś smyk z Borowic paśł krowy przy gościńcu i jak sa-
mochód pędził, to on cap — kamień — i traf w niego — objaśniał Szymon.

Szklą się posypały w same oczy szoferowi i tyła. Szczęście, że właściciel maszyny umiał kierować i zaraz przywiózł go do lekarza. Może jeszcze z niego co będzie.

Markowi nagle serce poczęło silniej bić z przestachu. Toż on właśnie rozkazał Bartkowi paść krowy przy drodze. Może to i jego syn zmajstrował?

Niedługo policjant przyprowadził bosego chłopaka, w którym istotnie, na swoje nieszczęście Marek poznał Bartka. Zakotłowało się w nim tak, że wyrwawszy Szymonowi kij z ręki, sunął do synka.

— Ha, łotrzel! — wrzasnął i kropnął go po udach. Ja cię nauczę!

Chłopak beknął z całej siły, ale ojciec, nie patrząc na nic, prał go bez litości. O psi synu! — łotrzel! — popamiętasz ty mnie!

I byłby go może ubił, gdyby policjant nie wmieszał się i nie kazał im iść z sobą na posterunek. Szli tak we trójkę przez miasto, a ludzie gapili się na nich i kiwali głowami.

Na posterunku dowiedział się Marek, że syn jego ze zbytków oslepił człowieka, a on będzie za to odpowiadał. Rwał sobie włosy z głowy, ale cóż mu to pomogło?

Wkrótce stanęli ojciec z synem i ślepy kierowca przed sędzią. Przysądzone szoferowi 200 zł. miesięcznej pensji, jako odszkodowanie za wybite oczu, a sędzia zwrócił się do Marka:

— Oto macie skutki wysyłania dziecka za pasionką, zamiast do szkoły. Tak was ukarał sędzia ziemski, a co Bóg na to powie, o tem dowiecie się już sami w swoim czasie.

Majewski Henryk, kl. V.

Wychowanie Józka

(Opowiadanie)

Pastwisko, zwane „Stawiskiem“, rozciągało się na zachód od wsi Dolisk. Jednego dnia, na początku czerwca, na Stawisku było cicho. W powietrzu panowała niczem nie zamacona jasność. Nad ziemią unosiły się jakieś przeźrocze bałwanki, tajemnicze smużki, które w pojęciu ludu mają być „cieplem“.

Stary Łukasz, pastuch, siedział nad brzegiem rzeki, ginącej w krzakach. Tuż obok pasło się jego stado krów, które schylały się po trawę, lub niekiedy schodziły w wąskie koryto strumyka pić wodę.

W pewnej chwili pastuch podniósł się z ziemi, ziewnął i wypędził całą trzodę na brzeg lasu, przerywając ciszę trzaskaniem z bata i swym grubym głosem:

— He! a no, stąd! a no! a no!

Rosłe było chłopisko. Mówiono we wsi, że nie miał stałego rozumu, że za dużo bił zwierzęta i podobno nieraz ludziskom dokuczał. Wybrali go jednak na pastucha, by sobie coś zarobił i nie zebrał całą zimę, jak dotąd bywało. Bo też i ziemi nie miał i stary był. Teraz właśnie podparł się na kij, gdy naraz usłyszał za sobą głośnie wykrzykiwanie. Obejrzał się i zobaczył wychodzącego z lasu Józka Marcinów bez czapki, chłopca dziesięcioletniego. On to chętnie przebywał z Łukasikiem, bo tak pastucha nazywał.

— Łukasiku, a dobrze wam tu? Dziś gorąco, he?

Pastuch wydał wargi:

— A ty smarkocu skąd?

— Tać widzita, że z lasu.

— Po co tam łazisz?

— Zawszeć oplaci się Łukasiku wronom gniazda zrzucić.

Zbliżył się do starego i obaj usiedli. Pastuch wyjął pudełko z tytoniem, a właściwie z jakimś czarnymi korzonkami i skręcał papierosa. W pewnej chwili rzucił okiem na ogródki młynarza i spostrzegł, że konie jego zapuściły się daleko w warzywa. Ściągnął czoło w liczne zmarszczki i rzucił chłopcu:

— Te, Józek! biegaj tam i przygnaj konie!

— Dzie?

— W ogrodach...

— Idźta se sami Łukaszu — ja nie głupi, żeby mię młynarz zepnął.

— Młynarza niema.

— Ja nie głupi — bronił się Józek.

Pastuch poczerwieniał ze złości. Właściwie to i on mógłby pójść, ale bał się młynarza, z którym źle było zaczynać.

— Mnie boli noga — wykręcał się — idź Józek!

— A nie widział ja, jakešta pędzali krowy po pastwisku?

Pastuch już sunął do Józka, ale ten umknął i schował się za krzak jałowca.

— Boli was noga? co? teraz wiem, chceta mię nabrać.

— Józek, smarkocu!

— Dajta dziesięć groszy na cukierki.

— Na dodatek dostaniesz tez papierosa. Idź prędzej!

Mały wahał się jeszcze chwilę, poczem chwycił bat pastucha i po-pędził. Na szczęście uszło to uwagi młynarza. Chłopak przygnął konie aż pod las.

— A widzisz smarkocu, takiś sam — rzekł mu pastuch.

— Dajta papierosa — przerwał Józek i podbiegł do starego. Łukaszu rzucił okiem na trzodę i konie, poczem usiadł i zaczął skręcać papierosy, jednego dla siebie, drugiego dla chłopca. Po chwili zaśmiał się:

— Te, Józek, smarkocu, jak ty trzymasz papierosa?

— Żle?

— Juści. — Wyciągnął rękę i pouczył chłopca, który pilnie uważał na palacza. Wreszcie mały zaciągnął się dymem, zaczął kaszlać i dusić się, a pastuch pokładał się ze śmiechu, schylając kudłatą swą głowę aż do ziemi. Tak bawił z nim do wieczora.

Odtąd co dnia przychodził tu po szkole. Spotykał jeszcze dwóch innych chłopaków, którzy również byli na usługach pastucha. Józek prześcigał ich jednak w paleniu papierosów. Raz powracał nad wieczorem do domu. Powietrze było czyste i zdrowe. Na topolach poruszały się liście, szmerząc miękko. Czasem ciszę przerwał turkot wozu, znikającego za wsią. Józek wbiegł na uliczkę, prowadzącą do chałupy i naraz usłyszał głos matki:

— Dzie byłeś?

— U pastucha.

— Po co tam łazisz?

Chłopiec nic nie odpowiedział. Na szczęście matka upomniała go tylko, żeby więcej tam nie chodził, bo taki duży chłopak powinien już pomagać w domu. Gorzej było, gdy przyszedł ojciec:

— Ja cię Józek miałem dawno zeprać — rzekł — że pasiesz bydło na Stawisku. Ale niech cię jeno raz jeszcze zobaczę z pastuchem, dam ja ci.

Józek musiał się bać, bo nie chodził już na pastwisko, ale za to znikał gdzieś każdego dnia w południe, lub wieczorem. Pomagał czasem w domu. Jednego razu po powrocie ze szkoły ojciec zabrał go z sobą w pole. Wzięli fartuchy i sierpy, aby użąć trawy na miedzy. Pogoda była przesłiczna. Lekki wiaterek pisał po polach. Zielone kłosa pszenicy i żyta chwiały się, jak senne. Gdy zatrzymali się na wzgórkach, gdzie stała grusza, ujrzeni na pochyłości pola Macieja, pasącego krowę na miedzy. Był to sąsiad Marcina Pawluka. Zagon jego ciągnął się po przeciwnej stronie.

— Widzisz go? — krzyknął Marcin do Józka.

— Widzę.

— Chodźma do niego.

Gdy zbliżyli się, Pawluk naraz chwycił z brzozy duży kamień i cisnął nim w krowę.

— Twoja miedza? — huknął.

— Moja tak samo, jak twoja — odparł Maciej. Moje pole tutaj, twoje tutaj. Ty z sierpem, ja z krową.

— Bieraj krowę!

— Nie wezmę.

Zaczęli się tarmosić. Maciej słynał z wielkiej siły. Chwycił więc Pawluka za kark, „nagiął“ do ziemi i miał już walić. Józek krzyczał przeraźliwie. Widząc, że ojciec nie da sobie sam rady, poskoczył z tyłu i silnie sierpem ciał Macieja w nogę. Chłop poczuł ból, puścił Pawluka i kopnął malca, aż ten przewrócił się, poczem popędził za krową przez zagony.

— A won skodniku! — darł się za nim Pawluk.

— Alem go tatu skaleczył! — śmiał się Józek.

Uzęli pełne fartuchy trawy i wrócili do domu. Marcin tymczasem opowiadał żonie:

— Widzisz, ta bestja wlaźła z krową, niscy mi zasiew, tak ja do niego, ale jakoś mi się noga poślizgnęła i upadłem na ziemię. Dopiero go Józek zdzielił kilka razy sierpem po nodze i puścił mnie.

— Józek?

— Juści.

— A to odważny dzieciak!

— Tak ci mówię rąbał, że aż!

Stara zamysliła się chwilkę, poczem rzekła:

— A ty wiesz, że jajka nom giną.

— Jakto?

— Ktoś kradnie.

— Ile zginęło?

— Razem z dziesięć.

— O la Boga! jakiesi skodniki, trza zamykać izbę.

Nazajutrz dowiedzieli się, że jajka giną też u Maciejów i Bubrów. Jakoś rano spotkała się Pawlukowa z Maryską Bubrów przy studni.

— Jak się macie, kumo?

— Ta, dobrze.

— Co tam słychować?

— Stara bieda.

— Byłam wczoraj w mieście — mówiła — no i dziś mam jechać.

— A dyć co tam?

— Sprawiam ubranka dla dzieciaków.

— A to ustroicie malców.

— A tak, tylko widzicie, wczoraj zaglądam do kurnika, a tam cały mendel jajek brak.

— Tać i u nas zginęło dziesięć. — To mówiąc, Pawlukowa widocznie sobie coś przypomniała, bo nagle chwyciła za wiadro i pobiegła:

— O la Boga, tam mi barsc wykipił!

Całej tej rozmowy wysłuchał Józek. Wyrostek trzął się ze śmiechu, ukryty za kupą gałęzi.

Minęło chyba z tydzień od owego dnia. Jajka ginęły dalej, tak u Pawluków, jak i u sąsiadów. Złodzieja nie można było złapać. Wprawdzie Marcin pilnował, wszystko jednak napróżno. Życie szło zwykłym trybem. W gospodarstwie nie było zajęcia. Józek więc miał czas wolny i znikał każdego dnia.

— Niech se ta polata, toć to dzieciak — mówiła matka.

Aż kiedyś po długiej posusze powiał wiatr wilgotny od lasu.

Po południu, w stronę, gdzie pięły się wzgórza, podążało dwóch

chłopców: nasz Józek i Marek Buber. Zaraz za wsią znaleźli się wśród głogów i cierni. Skręcili na prawo i zsunęli się w jeden ze źwirodolów.

— Nie zobaczy nas kto? — szepnął Marek.

— Tu nikt nie przychodzi.

Po chwili zaczęli palić papierosy. Potem chwila przerwy i znowu palenie. Ani się jednak nie spostrzegli, że mają świadka. Był nim Maciej, którego nauczyciel prosił, by przywiózł dla szkoły żwiru. Szukał teraz miejsca, gdzieby mógł zajechać furą. Był boso, nie robił więc hałasu. Usłyszał rozmowę i cicho zbliżył się w tę stronę.

— Widzisz, mnie jak Łukasik dał spróbować, tak mnie cosik pociągnęło — mówił Józek.

— I mnie tak samo.

— A Łukasik mówi: ja palę, ojciec pali, to i ty (mówi) pal.

— Najgorzej to z pieniędzami.

— Żydówka Lejba sprzedaje i nie za pieniądze.

W pewnej chwili Józek dobył z kieszeni mnóstwo niedopalonych papierosów z tutkami, nazbieranymi na szosie. Kruszył resztki tytoniu w papier i uśmiechał się do Marka.

— Wiesz — rzekł — jak Łukasz radził mi nabrać pieniędzy? Ot (mówi), jak cię będą zapędzali do pacierza, to ty (mówi) klękaj, gdzie leży kamizelka ojцова z pieniędzmi.

W tej chwili Maciej posunął się z hałasem. Chłopcy porwali się i zaczęli uciekać. Chłop popatrzał tylko za nimi, podumał i zamruczał pod nosem:

— A złodzieje! Czeka! Trza Józkowi i jego ojcu zapłacić za ono bicie!

— — — — —

W kilka dni potem odbywało się zebranie rodzicielskie w szkole. Maciej, uważając, że teraz najlepiej zemści się na Pawluku, oskarżył Józka o kradzież jajek, palenie papierosów i t. d. przed księdzem i nauczycielami. Oskarżenie to potwierdził kierownik szkoły, który widział Józka z papierosem. Skończyło się na tem, że Józek został wydalony ze szkoły, a ksiądz nakrzyczał Marcina, że źle wychowuje dzieci.

Pawluka ogarnął wstyd, jak nigdy, wszyscy bowiem okrutnie się na niego patrzyli. To też sprzął Józka niemilosierdzie.

— Ty psu bracie, nicponiu! ja ci dam papierosy! — krzyczał, chwytając postronek. Marta przestraszona przypatrywała się temu z oczyma szeroko rozwartymi. Gdy spostrzegła jednak, że to nie przelewki, porwała się nagle z krzykiem:

— O la Boga! zabije mi dzieciaka!

Ale Marcin bił silnie. Dopiero, gdy żona rzuciła się nań, chłopak skorzystał z zamieszania, wyrwał się z pod nóg ojcu, wywalił w drzwi i uciekł.